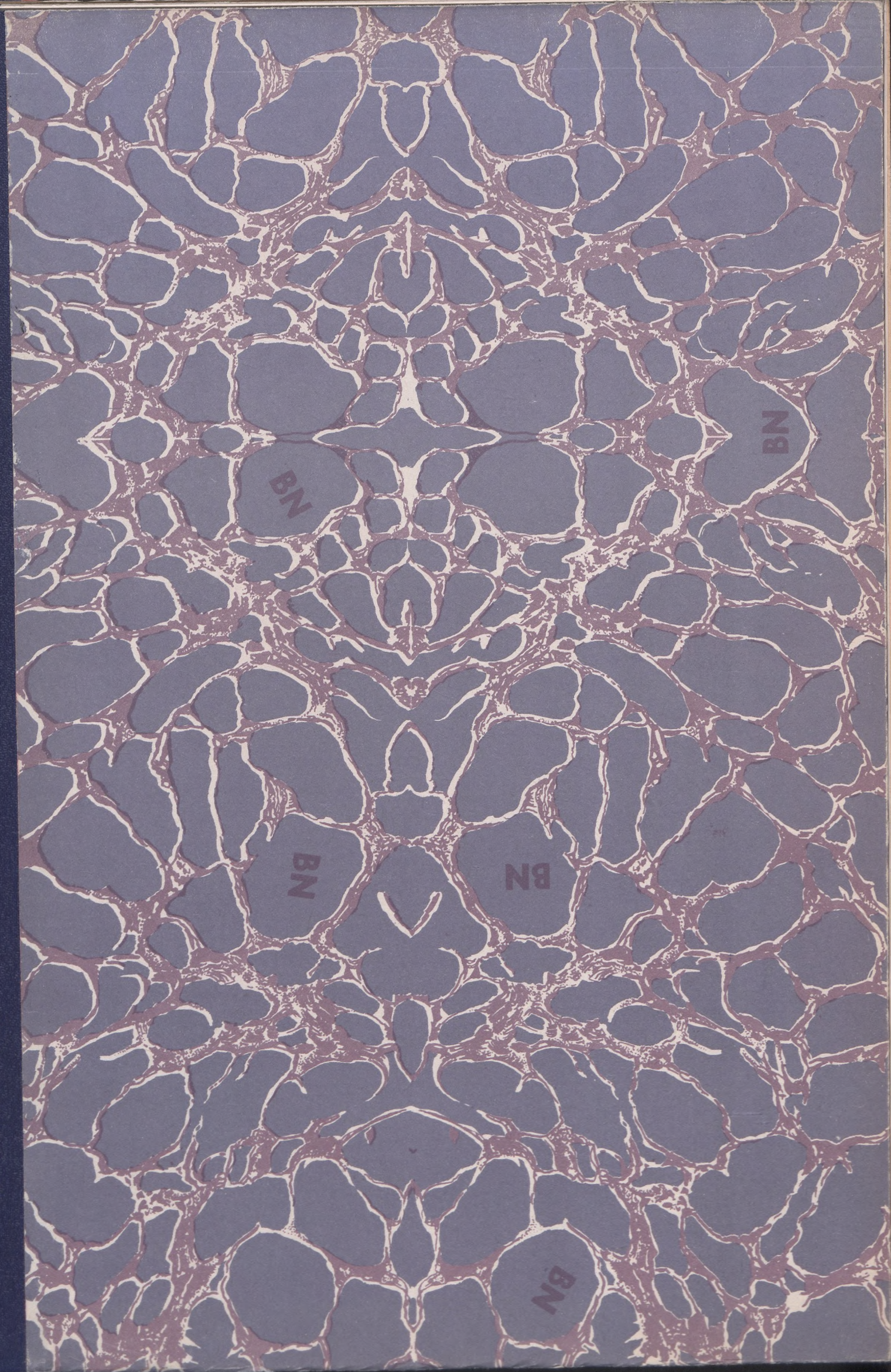
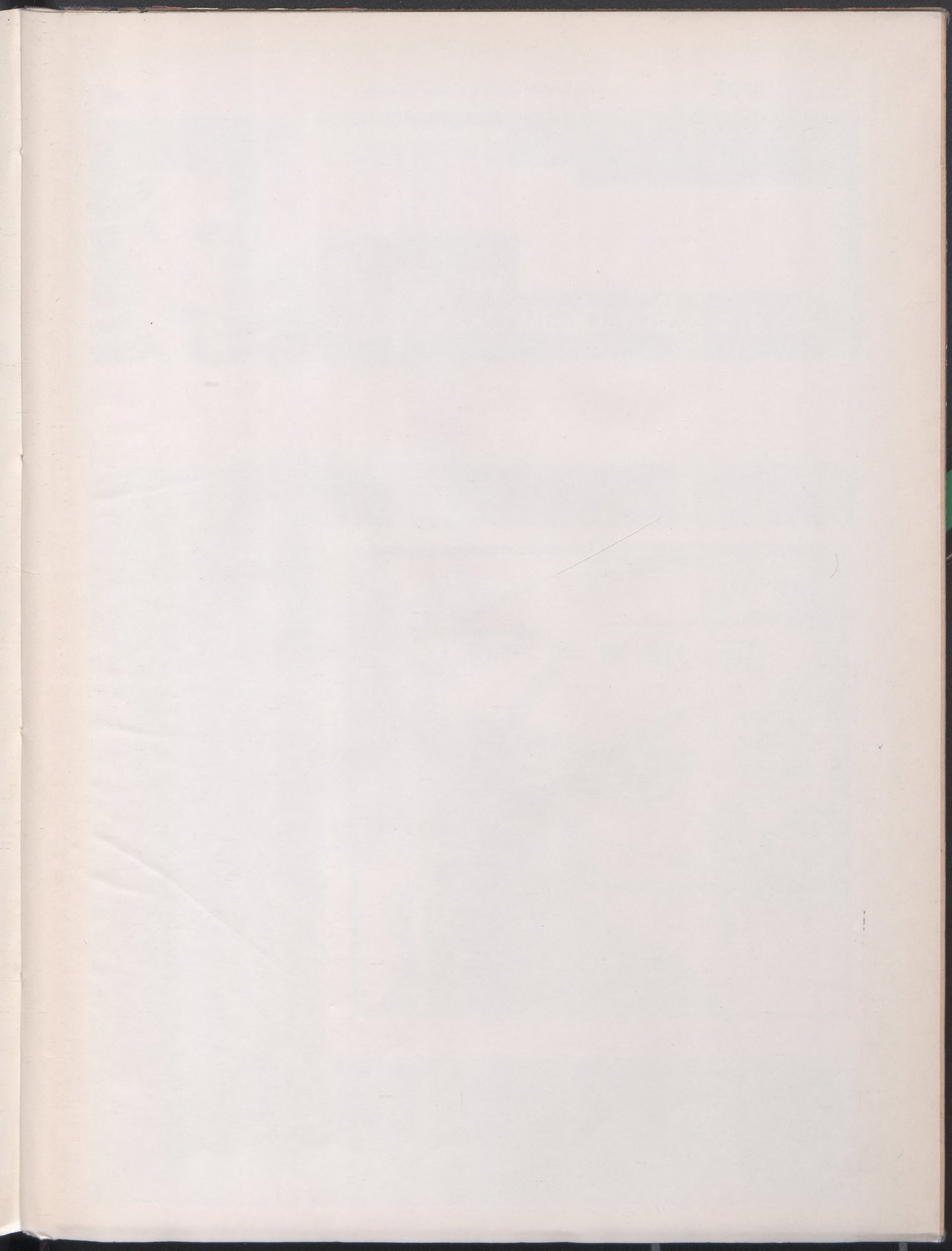


623405 V72







Nr. 72.

Wtorek, dnia 23 maja 1939 roku

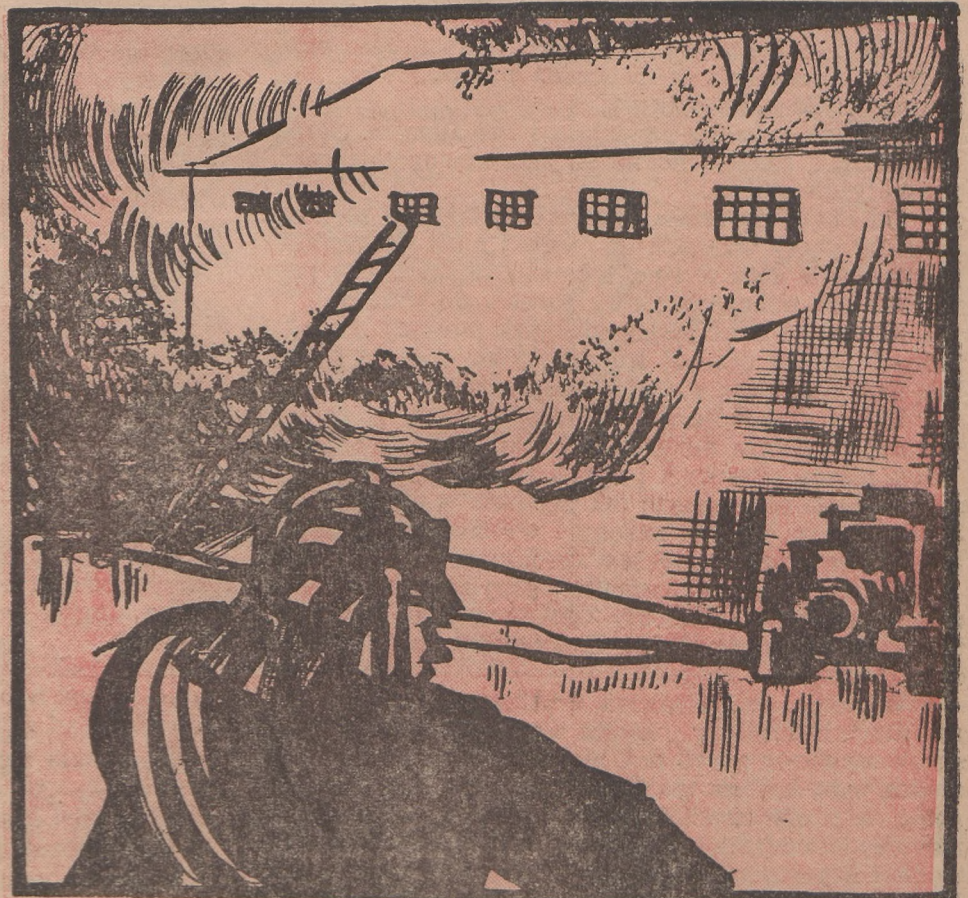
Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

NA WYSPIE KORFU





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

NA WYSPIE KORFU

Niebylejaki więzień

Dozorca trzeciego piętra więzienia w Algierze mierzył korytarz szybkimi, nerwowymi krokami.

Cele znajdowały się po jednej stronie korytarza. Każda z nich zamykała się na drzwi podwójne: z masywnego drzewa i ze stali.

Wielki ten budynek był niegdyś pałacem beja Algieru. Administracja francuska przebudowała pałac na wielki zakład karny.

W całym gmachu panowała teraz zupełna cisza. Więźniowie spali, a nocne światła niezupełnie rozpraszały ciemności.

Od czasu do czasu, dozorca na trzecim piętrze zaglądał przez wziernik do jednej z cel i zagłębiał jednocześnie dłoń w swej kieszeni, badając, czy rewolwer jest odbezpieczony i gotowy do strzału.

Musiał on mieć jakieś specjalne powody, że tak „czuła” opieką otaczał jednego tylko więźnia i że tak dbał przy tym o swoje bezpieczeństwo.

Rzecz stanie się dla czytelnika jasna, gdy powiemy, że owym dozorcą był nikt inny, jak Tom Wills, młody pomocnik i uczeń znakomitego detektywa i że dozorowanym tak gorliwie więźniem był profesor Fox, wielki uczony i wynalazca amerykański, ale jeszcze większy zbrodniarz.

Po wielu niebezpiecznych przygodach, które z Nowego Jorku zawiodły go aż w głąb Sahary, udało się wreszcie Harry Dicksonowi ująć profesora Foxa.

Wiedząc, że zwłaszcza w Algierze trzeba nieraz długich miesięcy, zanim ujęty zbrodniarz zostanie stawiony przed sąd, wiedząc dalej, że z przestępcą tego kalibru, co Fox, napewno nie daliby sobie rady miejscowi dozorca więzienia, przywykli jedynie do arabskich koniokradów, złodziei portowych i uczestników bójek, Harry Dickson wyjednał specjalne zezwolenie, na mocy którego nad cele nr. 97, w której zamknięty był Fox — roztoczył pieczę Tom Wills.

I oto właśnie od tygodnia Tom pełnił tę niewdzięczną i monotonną służbę. Więzień czuł na sobie to badawcze i nieufne spojrzenie swego dozorczy i odpowiadał na nie prawdziwie szatańskim śmiechem.

Niekiedy, zaglądając przez ów wziernik, czuł Tom Wills na sobie spojrzenie tego przestępcy,

I wówczas jakby jakaś moc nieprzeparta kazała mu trwać przy tym okienku, a członki młodego detektywa ogarniała niemoc, niczym paraliż. Miał wrażenie, że wąż dusiciel obejmował go w swe stalowe uściski i zatopił w jego oczy swe spojrzenie bestii.

Właśnie w jednej z takich chwil, gdy Tom, ulegając mocy hipnozyerskiej Foxa, trwał bez ruchu przy drzwiach — Fox wszedł na zydel, stojący pod zakratowanym oknem celi i krzyknął coś w ciemność nocy afrykańskiej.

Po chwili Tom, nie mogąc się wyzwolić z pod wzroku tego człowieka widział i patrzył beczynnienie, jak Fox zrzucił siennik z łóżka i wydobyl z pod niego pilnik oraz inne narzędzia złodziejskie.

Podczas, gdy pilnik ze zgrzytem pracował przy zamku — Tom czynił nadludzkie wysiłki aby przemóc w sobie wpływ Foxa, lub przynajmniej wydobyć rewolwer. Niestety, był jakby pod wpływem osobliwej narkozy. Zupełnie nie panował nad swymi mięśniami.

Wreszcie drzwi się otworzyły. Uderzony ich skrzydłem w głowę — Tom właśnie dzięki temu uderzeniu przyszedł do siebie.

Nim jednak zdołał dopaść złoczyńcę, który jak tygrys, jednym skokiem, znalazł się na korytarzu — Fox sięgnął do najbliższego wyłącznika i zgasił światło.

Tom doskoczył teraz do biegnącego ku nieokrątanemu oknu przestępcy i schwycił go ze wszystkich sił za gardło.

Rozegrała się krótka walka. Fox, silny jak tur porwał młodego człowieka jednym tylko ramieniem i zawał jego szyję w żelaznym uścisku.

Tom poczuł, że mu braknie tchu.

Mimo to, postanowił walczyć do ostatka. Gotów był raczej paść, a nie ustąpić.

— Żle się czujemy, — szepnął Fox do ucha Toma, — bardzo źle, nieprawdaż? Nie trzeba się brać do nieswoich spraw. Nie dorośliście razem z Dicksonem do mnie...

Tom był już bliski omdlenia, gdy nagle rozległ się z dołu głos innego dozorczy:

— Co się stało? Dlaczego nie ma światła?

Tom próbował odpowiedzieć, krzyknął coś,

ale poczuł jeszcze mocniejszy uścisk wokół swej szyi i osłabł zupełnie.

Głos z dołu dodał tymczasem:

— Trzeba zaraz meldować, że zgłasza światło.

— Tak jest, — odparł Fox.

Dozorca na dole, jakby mu ta odpowiedź nie wystarczała, rzucił:

— Zaraz meldować trzeba, powiadam. I cóżeś tak ochrypl, młody Angliku?

— Zdaje wam się, — rzekł Fox, próbując zmienić głos. — Już schodzę!

Fox przycisnął teraz głowę Toma do ściany, jakby mu ją chciał w ten sposób zmiażdżyć.

Tom wydał jęk, który stłumił uścisk Foxa.

Korytarzem biegł już dozorca z dołu.

— Co się tu dzieje? Czego tak jęczysz?

Zbrodniarz wiedział dobrze, że od tej chwili zależy powodzenie lub niepowodzenie jego ucieczki. Fox nie zwykł się wahać. Wyrwał z kieszeni Toma rewolwer, wymierzył i ciężko ranny dozorca padł, staczając się po schodach.

Tom, uwolniony z uścisku, westchnął głęboko. Był blisko okna. Świeży powiew chłodnego powietrza w jednej chwili dodał mu sił. Nie upłynęła sekunda, a Tom dobył drugiego rewolweru i strzelił do Foxa. Ale ciemności sprzyjały zbrodniarzowi. Strzał chybił.

Ze wszech stron rozległy się teraz krzyki i nawoływania.

Zbiegła się straż z dołu, nadbiegli inni dozorczy.

Fox próbował się jeszcze wydostać, nie rezygnując do ostatniej chwili. Prażył z rewolweru i ranił ciężko jeszcze jednego dozorcę. Walczył wręcz, licząc na swe nadludzkie siły, aż wreszcie uległ dziesięciu osaczającym go ludziom.

Dozorczy zakuli mu teraz ręce i nogi, wtoczyli do jego celi wielką kulę żelazną i skuli łańcuchy od nóg i rąk z tą kulą.

Fox był całkowicie unieruchomiony.

Ale jeszcze w tych momentach kompletnej porażki, z ust jego nie schodził uśmiech pogardy i wyższości w stosunku do tych ludzi, którzy mieli go przecież znów w swej mocy.

Drzwi celi zostały zamknięte na nowe zamki i kłódki.

Na miejsce przybył naczelnik więzienia, który zwrócił się do Toma, siedzącego na schodach i ciężko dyszącego.

— Jak się to wszystko stało ... W jaki sposób dostał ten zbrodniarz pilnik i inne narzędzia? Broń skąd miał?

Tom wzruszył ramionami. Nie chciał się przyznać, że został po prostu przez Foxa zahipnotyzowany. I tak nie uwierzonoby.

— Zdrzemnąłem się na chwilę, — skłamał. — Nagle poczułem uderzenie drzwiami.

— Do licha! Jeszcze się to nigdy w tym więzieniu nie zdarzyło. W jaki sposób ten lotr zdobył instrumenty? Przecież przeszukałem go sam dokładnie!

Naczelnik więzienia był wściekły.

— Moznaby pomyśleć, — rzucił pod adresem Toma, — że to mu pan dał to wszystko do ręki, że pan mu chciał ułatwić ucieczkę.

Tom na chwilę zapomniał o jednej z naczelnich zasad, głoszonych przez jego mistrza: o zasadzie panowania nad sobą. Krzyknął na naczelnika:

— Jak pan śmie!...

Zamilkł jednak po chwili, świadom, że w tej chwili winien raczej dbać o harmonię i zgodę w ich

obozie, a nie dawać Foxowi nowej szansy przez wewnętrzne rozterki.

— Przeszukajmy lepiej celę tego bandyty, — zaproponował po chwili Tom spokojnie.

Na tę propozycję zgodził się naczelnik i, przepraszając Toma, kazał otworzyć celę.

Fox przyjął funkcjonariuszy głośnym śmiechem.

— Nie wiecie skąd się wzięły te rzeczy? O to wam chodzi?

— Tak, — rzekł naczelnik. — Żądam wyjaśnienia kto te narzędzia dostarczył do celi?

— Głupiście za bardzo, żeby to pojąć... — szydził z nich Fox. — Nie powiem ani słowa.

— W rękawice go! — rozkazał naczelnik.

— W rękawice? Zapłacicie mi za to drogo — ryczał teraz Fox.

Po chwili dały się słyszeć kroki na schodach. Z miasta przybył dyrektor więziennictwa. On jeden wiedział, że Tom jest detektywem. W oczach nawet naczelnika więzienia Tom uchodził bowiem za młodego praktykanta angielskiego.

Właśnie jeden z dozorców niósł do celi nr. 97 t. zw. „rękawice“, t. j. narzędzie tortur pochodzenia hiszpańskiego, mające kształt rękawic i działające w ten sposób, że wywierają na dłoń delikwenta nacisk regulowany obrotem śruby. Można było tymi rękawicami, sprawiając nieszczęśliwemu ból okrutny — doprowadzić aż do zgruchotania ręki.

Narzędzie to, stosowane jeszcze niekiedy w więzieniach w Algierze, Marokko i Egipcie, było przeżytkiem afrykańskich metod wymuszania zeznań.

— Żądam wydania współników, Fox. Kto dostarczył panu tych narzędzi?

Fox wzruszył ramionami z wyrazem pogardy.

— Każę was osmagać! — krzyknął dyrektor, nie panując już nad sobą.

Fox uśmiechał się dalej pogardliwie, patrząc wyzywająco w oczy dyrektora.

— Bicza! — krzyknął dyrektor.

Przybiegli ludzie z biczem.

Fox skrzywił się z bólu. Po raz pierwszy jego twarz utraciła ów wyraz pewności siebie i pogardy.

— Powiem wszystko, — rzekł szeptem.

— Słucham.

— Nie tutaj — w biurze.

Dyrektor nie chciał o niczym słyszeć. Ale Fox oświadczył, że pozwoli się zakatować, a ani słowa tutaj, w swej celi nie powie.

— Niech się pan dyrektor nie godzi, — radził — radził mu naczelnik. — Kto wie, co ta bestia znów planuje. Nie wolno mu ustępować.

Ale dyrektor był innego zdania. Dla czego miałby nie zgodzić się na ten warunek Foxa?... Może nie chciał mu czegoś zawierzyć przy tylu świadkach? Czy zresztą obecni tu funkcjonariusze nie uznaliby dyrektora za ostatniego tchórze, gdyby w obawie o własną skórę, zresztą obawie zupełnie iluzorycznej — nie chciał się zgodzić na ten warunek?...

Widząc, że dyrektor namyśla się, podszedł doń szef służby więziennej i również radził:

— Niech tutaj powie co ma do powiedzenia, nie na dole.

Ale ta rada utwierdziła tylko dyrektora w mniemaniu, że właśnie Foxowi należy ustąpić.

— Niech panowie zastanowią się. Co nam może zrobić człowiek w ten sposób zakuty?... Przecież to śmieszne, aby go się lękać.

— To prawda, ale po Foxie można się wszystkiego spodziewać, — twierdził naczelnik.

— Niech każdy wróci na swoje miejsce, — rzucił dyrektor. — Dwaj strażnicy sprowadzą Foxa na dół.

Tom został również na swym stanowisku.

Z niecierpliwością czekał na powrót Foxa. Miał głuche przeczucie; że rzecz się normalnie nie skończy, że stawiając ten warunek, miał ten straszny przestępca jakiś plan na względzie, który oby się nie obrócił przeciwko pewnemu sobie dyrektorowi.

W wielkim budynku zapanowała teraz cisza.

Miało się już ku świtanu. Za oknami unosiły się mgły poranne. Niebo szarzało coraz bardziej.

Fox nie wracał.

Tom nie mógł już wreszcie opanować swego niepokoju. Zeszedł na dół, wszedł na korytarz, wiodący do kancelarii i skierował się ku gabinetowi naczelnika więzienia.

Lampy były już pogaszone. Blade światło świtu sączyło się przez okna.

Tom dyskretnie wypatrywał strażnika — tego, który wraz ze swym drugim kolegą sprowadził Foxa na dół.

Nagle wzrok Toma padł na ciało, leżące nieco na uboczu, w najciemniejszym kącie korytarza.

Był to jeden z dozorców. Leżał twarzą do ziemi. Był nieruchomy, jakby uśpiony.

Tom odwrócił nieszczęśliwego. Miał szarą twarz.

Przekonany, że na tym nie koniec — Tom wpadł do gabinetu dyrektora.

Fox stał pośrodku pokoju, skuty w kajdany i przykuty do wielkiej kuli.

Ale w fotelu leżał dyrektor. W jego piersi tkwił sztylet. Był martwy.

Tom dopadł z bronią w ręku do Foxa.

— Morderco! Kto to zrobił? To ty! To ty, mimo kajdanów?

Fox uśmiechnął się, wzruszył ramionami, ale milczał.

Tom zbadał jego łańcuchy. Były całe. Fox nie mógł tego zatym uczynić.

— Co się tu stało?.. Jaka tragedia rozegrała się w tych czterech ścianach?

Na wołanie Toma zbiegli się dozorczy. Wezwano lekarza.

Ale nikt nie mógł niczego się domyśleć. Fox milczał uporczywie. Jakby oniemiał i ogłuchł.

Zamknięto go w jego dawnej celi i założono nowe łańcuchy.

Po upływie pół godziny do więzienia przybył Harry Dickson

Straszna noc

Detektyw, kiwając od czasu do czasu głową, wysłuchał opowiadania Toma, po czym udał się do gabinetu naczelnika.

Okna były otwarte. Ciało dyrektora leżało w tej samej pozycji, w jakiej je zastał Tom. Nic nie wskazywało, aby toczyła się tutaj jakaś walka. Dickson przeszukał cały pokój ze zwykłą sobie dokładnością i drobiazgowością. Widać znalazł coś godnego uwagi: gdyż kilkakrotnie uśmiechnął się do siebie.

Na noc detektyw zwolnił swego ucznia, sam zaś z rewolwerem w ręku, stał na warcie przed celą Foxa.

Złoczyńca siedział na podłodze i nie poruszał się.

Koło północy, nie mogąc zasnąć, Tom opuścił Miss Copper i Duponta — dalszych pomocników w tej sprawie — i wrócił do swego mistrza.

Możnaby sądzić, że Fox zrezygnował z dalszej walki. Drzemał w celi i był zupełnie apatyczny. Tom zbliżył się do Dicksona:

— Czy już pan znalazł rozwiązanie tej zagadki, mistrzu?

— Jeszcze nie zupełnie. Wiem jednak z całą pewnością, iż uniemożliwimy mu ucieczkę i ewentualnie znajdziemy wyjaśnienie tragedii w biurze dyrektora — gdy nie stracimy go ani na chwilę z oczu.

— Czuwajmy zatem... — Przez długie minuty milczeli, spoglądając niemal bez przerwy przez otwór w drzwiach do celi.

Rozmowę podjął znów Tom Wills:

— Zdaje mi się, — szepnął, — że Fox miał pomocników i że tą pomocnicą była Kreolka.

— Kreolka?... — powtórzył Harry Dickson. — Nie zapominaj, że straciliśmy ją z oczu w sercu Sahary. Była wyczerpana, ledwo się trzymała na siodle. Jej koń był również bez sił. Gubernator generalny zapewnił mnie, że ta kobieta napewno zginęła w pustyni, że gdyby była uszła z życiem — jużby ją spahisi ujęli..

— A przypadek, mistrzu?..

— Słusznie. Może zatem i Kreolka była mu pomocna. Ale, jeśli tak, to dla czego nie pomogła mu do ucieczki?

— Oto właśnie chodzi. I w tym musi tkwić coś niezwykłego. Udało mi się wprawdzie ustalić w jaki sposób złoczyńca dostał się do gabinetu dyrektora, ale, mimo to, nie zdołałem jeszcze wyjaśnić zagadki.

Nagle Dickson przerwał i począł nad słuchiwać.

— Co się dzieje!

Tom dosłyszał w tej samej chwili głuchy jakiś jęk, po nim syczenie jakby, trzaski i łomot.

Dickson przechylił się przez poręcz schodów. Dojrzał czterech dozorców biegnących z dołu i wołających przeraźliwie:

— Pali się! Pożar!

Gęsty, czarny dym ukazał się teraz gdzieś jakby w piwnicy i począł się wdzierać na górne piętra. Skądeś strzeliły pierwsze płomienie.

Dozorcy potrącili głowy. Nie wiedzieli do czego się wzięć: czy ratować więźniów, czy ratować kancelarię, czy może porzucić wszystko i ucieść z życiem, czy wreszcie zająć się gaszeniem ognia.

Wywlekli hydranty, ale już nie było nikogo, kto by odkręcił kurki. Potrącili się wzajemnie, krzyczeli i nawet wymyślali sobie, starając się przekrzywić jęki i złorzeczenia więźniów, którzy nie bez słuszności domagali się uwolnienia.

Jednym skokiem znalazł się Harry Dickson wśród tych ludzi ogarniętych paniką. Rozległ się jego głos stanowczy i grzmiący. Padł jeden i drugi rozkaz. Dozorcy poczuli nad sobą władczą wolę człowieka energicznego i przywykłego do rozkazywania. W jednej chwili chaos zmienił się w ład i porządek.

W chwili, gdy na miejsce przybyła zaalarmowana straż pożarna — ogień już był ugaszony.

Harry Dickson stwierdził, w czasie akcji ratunkowej, jeszcze przed przybyciem straży, że źródło ognia musi być na dole, od strony dziedzińca więziennego.

Tam tedy zbiegł w tej samej chwili, gdy pierwsi strażacy wpadli do budynku.

Dym był tu jeszcze tak bardzo gęsty, że o dwa kroki nie można było człowieka dojrzeć. Detektyw i jego pomocnik oddychali z wielkim trudem, dławiąc się co chwilę.

Nagle Dickson ujął Toma Willsa za ramię...

Pod murem więzienia skradała się jakaś sylwetka. Gdy nieznajomy się zbliżył — Dickson zauważył, że trzyma on w jednym ręku butelkę nafty, a w drugim blaszankę z jakimś jasnym proszkiem.

Tuż pod murem więzienia nieznajomy wylewał naftę i wysypywał proszek, a obok strażacy prowadzili walkę z ogniem, walkę już zresztą częściowo wygraną.

Nagle tajemniczy osobnik odwrócił się. Ujrzawszy Harry Dicksona i Toma Willsa, rzucił się do ucieczki.

Dickson nie wahał się ani przez chwilę.

Dopadł zloczyńcę — niewątpliwie podpalacza — i swą stalową dłonią schwycił go za kark z taką siłą, że lotr padł na kolana.

Dickson i Tom ujrzeni człowieka o nieznanym im zupełnie rysach, o twarzy zdecydowanie bandyckiej i przedziwnie zbrodniczej.

Człowiek ten, o wielkich łapach i nogach, próbował się teraz bronić. Ale jedno uderzenie kolbą rewolweru zważyło go z nóg. Był znokautowany na długie sekundy.

Tam pobiegł po wodę i zalał nią naftę oraz proch strzelniczy. Gdyby na tę mieszaninę padła choć jedna iskra, a eksplozja, nie dająca się w skutkach opisać, byłaby niemiarkowna.

Harry Dickson, pozostawiony na chwilę bez pomocy, w tym samym momencie, gdy uderzeniem rewolweru wyzwolił się od owego napastnika i pewien był, że już mu nic nie grozi, został nagle z tyłu przez kogoś zaatakowany.

Ktoś go schwycił z tyłu za gardło i dusił.

Dickson miał tylko jedno wyjście: ze wszystkich sił zadał napastnikowi cios nogą. Po tym uderzeniu, palce, ściskające krtań detektywa rozluźniły się. Napastnik zachwiał się. Dickson odwrócił się i ujrzał... Foxa.

Z zaciśniętymi zębami detektyw rzucił się na swego zaciętego wroga. Ale Fox zebrał się ostatkiem sił i zniknął w zaroślach na krańcu dziedzińca więziennego.

Dickson pobiegł za nim i kilkakrotnie wypalił.

Przez jeden moment Dickson jeszcze go widział. Fox odwrócił się i rzucił w kierunku więzienia jakiś przedmiot sporych rozmiarów.

Detektyw, jakby przeczuwając, co to być może, ratował się ucieczką.

Przewidywania Dicksona sprawdziły się. Fox rzucił bombę. Nastąpiła potężna eksplozja i część murów więziennych zaważyła się. Jakiś kamień uderzył Dicksona w głowę, powodując dość głęboką i mocno krwawiącą ranę.

Umurzony kurzem i okruciami walących się murów, skrwawiony i zmęczony skierował się teraz detektyw w stronę więzienia.

Biegli mu naprzeciw Tom, Miss Copper i Dupont.

— Straszna noc przeżyliśmy, mój chłopcze, — rzekł Dickson.

— Czy nic panu nie dolega?... Jest pan ranny, mistrzu.

— Nic mi nie jest. Lekkie skaleczenie. Ale o mało co, a nie pozostałoby po nas nawet strzępów naszych ubrań. Zaraz, zaraz, coś muszę sprawdzić!

Dickson zniknął w dymie płonącego jeszcze budynku więziennego.

Cele na parterze były już ewakuowane. Więźniowie zostali przeniesieni do oddzielnego pawilonu na drugim krańcu dziedzińca.

Dickson biegł po schodach na górę. Za nim ruszyli po chwili nieodstępny Tom Wills i Miss Copper. Znaleźli się wreszcie na trzecim piętrze. Więźniowie walili tutaj w drzwi, kopali w nie, wyli i krzyczeli nieludzkimi głosami. Żądali aby ich wypuścić. Obawiali się ognia.

Tylko w celi zajętej przez Foxa panowała cisza.

Dickson otworzył drzwi tej celi zapasowym kluczem.

Na pryczy, skuty w kajdany, leżał więzień. Był bez ruchu.

Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że ów więzień nie miał nic wspólnego z Foxem. Może był do niego nieco podobny, może został odpowiednio ucharakteryzowany, ale nie ponadto.

Fox uciekł jeszcze wcześniej — zaraz po zabójstwie dyrektora. Ten tutaj był jego następcą. Podczas pożaru Fox najpewniej go zatrul.

Nieszczęśliwym, który nie dawał znaku życia zajął się lekarz. Dozorcy prowadzili tymczasem do strażnicy człowieka, którego unieszkodliwił Dickson na dziedzińcu.

Ogień dogasał.

Na miejsce tych niezwykłych wypadków przybył w międzyczasie generalny gubernator Algieru.

Wysoki dygnitarz przywitał się z Dicksonem jak z dawnym znajomym. Istotnie w związku z poszukiwaniami za Foxem, Harry Dickson odbył już niejedną konferencję z gubernatorem.

— Ustaliliśmy identyczność podpalacza, który, gdyby nie pan, Mr. Dickson, wysadziłby cały budynek w powietrze. To niedawno zwolniony przestępca. Ale co to panu, Mr. Dickson? — zaniepokoił się nagle gubernator. — Jest pan przecież zakrwawiony!... Czy nie został pan ranny?...

— Nic mi nie będzie — odparł detektyw. — Mamy dziś kiepski dzień. Fox wziął nas na kawał. Wszyscy są lżili, że został on osadzony w celi po rozmowie z dyrektorem — a w istocie w celi siedział ktoś inny, ktoś przez niego podstawiony.

Do pokoju weszła w tym momencie Miss Copper.

Nie chcąc przerywać rozmowy młoda dziewczyna stanęła nieśmiało na uboczu. Ale Dicksonowi wystarczył jeden rzut oka, aby się domyśleć, że Miss Etel ma coś na języku.

— Słucham panią, Miss Etel. Co nowego?

— Wiem, kim jest ten otruty.

— Jakto, więc został otruty, a nie uspiiony?

— Nie. Fox zatrul go luminalem. Pomoc była już spóźniona. Dawka była tak silna, że ten człowiek zmarł. Był nim Duval.

— Duval! — powtórzył Dickson. — Ten zloczyńca poszukiwany przez policję paryską i algierską?

— Duval?! — zdziwił się gubernator. — Przecież i ja o nim słyszałem. Byliśmy pewni, że zginął na pustyni.

— Teraz wyjaśnia się wszystko, — stwierdził Dickson. — Duval znalazł pewnie na pustyni Krolkę i uratował ją od niechybnej śmierci. Gdy mu proponowała, aby przyłączył się do niej i do Foxa — Duval nie wahał się ani chwili. Nie miał przecież nic do stracenia.

— I tych dwoje odbiło Foxa. — rzucił gubernator.

— Nie inaczej, ekscelencjo. Duval zasztyletował dyrektora, potem, już będąc wolny, Fox po swojemu mu podziękował. Wymknął się nam znów, ale my będziemy w końcu górą. Zaraz zaczynam pościg. Poproszę ekscelencję o wydanie dyspozycji zamknięcia portów na kilka choćby godzin. Jestem pewien, że Fox będzie próbował zbiec tym razem drogą morską. W każdym razie należy go szukać na wybrzeżu.

Gubernator wydał niezwłocznie odpowiednie zarządzenia.

Dickson, Tom, miss Copper i Dupont udali się w kierunku portu.

Eksplozia

Detektyw i jego pomocnicy znaleźli się w porcie, koło wybrzeża t. zw. paryskiego.

W ciemności zbliżył się do Dicksona jakiś rybak i zagadnął go:

— Czy nie szuka pan pewnej pary?

Detektyw zmierzł badawczym spojrzeniem nieznanego.

— Jak tych dwoje wyglądało?

— On był biały, ona — ciemna jak Arabka.

Dickson zacisnął pięści. Był znów na śladzie zbiegów.

— To oni! Gdzieś ich widział. Mów!

Rybak wskazał w kierunku morza:

— Odjechali, proszę pana.

— Kiedy?

— Przed kwadransem.

— Motorówką?

— Nie. Żaglówką.

— Kto prowadził tę łódź.

— Mój syn — Piotr mu na imię. Statek jest moją własnością. Z synem jest trzech rybaków na pokładzie.

— Dokąd mieli popłynąć?

— Do Grecji.

— I puścił pan tak syna w noc na morze?

— Czemu nie. Przecież to nasz zawód. Zresztą ten pan zapłacił bardzo dobrze. Czy nie nazywa się pan Harry Dickson?

— Tak jest. Zna mnie pan?

— Nie. Ale ten pan, który odplynał, zostawił mi dla pana list. Mam go tutaj.

Harry Dickson rozdarł kopertę i czytał:

„Do Harry Dicksona.

Nienawidzę Pana bezgranicznie. Najpiękniejsze plany zdołał Pan zniweczyć, a nie wiele brakowało, abym nie zginął pod nożem gilotyny. Niech ta sprawa nauczy pana, że byle młokos nie dorósł do tego, aby mnie dozorować. Być może, że gdyby Pan sam czuwał nade mną — nie udałby się mój ostatni, doskonale wykonany plan.

„Ale chyba zrozumie pan, że dla nas dwóch za ciasno jest na świecie. Jeden z nas musi ustąpić i obiecuję Panu, że w ciągu trzech dni zakończy Pan życie.

Wszystkie drogi wiedą Pana i pańskich pomocników wprost do zguby. Za to ręczy

Pański wróg śmiertelny
Fox“.

Dickson zmiął list i rzucił go.

— Czy macie tu jakiś statek, aby za tamtymi po-
gonić?

Rybak wzruszył ramionami.

— Jest tutaj mały statek parowy, należy do mego przyjaciela Lunda.

— Czy moglibyśmy nim zaraz wyruszyć?

— To nie takie proste, proszę pana.

— Płacę pięć tysięcy franków!

— Pięć tysięcy franków?... — Rybak aż usta otworzył ze zdumienia. — Zaraz pędzę do mego kompana. Zrobi się, na pewno się zrobi!

Rybak pobiegł ku małym domkom rybackim. „Powariowali jeden przez drugiego — mówił do siebie — jeden płaci trzy tysiące za żaglówkę, drugi pięć — za mały statek. Zresztą — co mi to właściwie obchodzi...

Po dwudziestu minutach zawił się Lund — właściciel statku, który kursował na linii pomiędzy Algierem i Tangerem. Niekiedy pływał nawet do Sycylii i Malty.

— Przewiezie nas pan do Grecji, Lund?

— Można. Dlaczego by nie...

— Dodam — rzekł Dickson — że nie tyle o podróż do samej Grecji chodzi, ile o pościg za żaglówką, która wyruszyła w tym kierunku przed godziną.

— Postaramy się, monsieur. Za cztery godziny powinniśmy ich dopędzić.

— Doskonale.

Po godzinie statek był gotów do podróży.

— Palacz jest na miejscu?

— Tak jest. Właśnie przybył w ostatniej chwili.

— W takim razie — jazda!

Statek, noszący piękną nazwę „Róży Saronu“, wypłynął na szerokie wody.

Dickson mierzył niespokojnymi krokami pokład. Pogoda była piękna. Niebo było ciemne prawie, granatowo-czarne. Lśniły na nim roje gwiazd.

Statek szedł ze znaczną szybkością, ale i ta wydawała się detektywowi nikła.

— Czy nie można by zwiększyć szybkości choćby o dwa — trzy węzły, kapitanie?

Lund skrzywił się:

— Idziemy pod pełną parą. Nie można dopuszczać do zbyt wielkiego ciśnienia w kotle.

Dickson niezadowolony zeszedł na dół do kotłowni.

Palacz, obnażony do pasa pracował w pocie całego ciała.

— Hallo — zwrócił się do niego detektyw. Czy nie moglibyśmy zwiększyć szybkości?

Palacz odłożył łopatę, ale nie odwracał się.

— Nie mam rozkazu od kapitana — rzekł ze spokojem.

— Kapitan lęka się wybuchu kotła.

— Ma rację — rzekł palacz i zabrał się znów do sypania węgla.

— Ale ja dam panu porządną napiwek, gdy będziemy płynęli szybciej.

— Napiwek napiwkiem, a kapitan mnie zwolni z pracy.

— Dam ci pięćset franków! — rzucił detektyw.

Palacz ożywił się nagle.

— Za tysiąc pojedziemy jak strzała. Niechby nawet kocioł wyleciał w powietrze. Ale musi być tysiąc franków.

Dickson wyjął z portfela plik banknotów.

— Oto tysiąc franków. I pełną parą naprzód!

Palacz wziął pieniądze z rąk detektywa, dorzucił kilka łopat węgla, po czym odkręcił wentyle i przepusty.

Rozległ się nagle brzęk i łomot maszyny. Przez uszczelnienia, na takie ciśnienie nie obliczone, poczęła dopływać z sykiem para. Przez cały statek przeszło gwałtowne wstrząśnienie.

Dickson spojrział teraz w twarz palacza.

Człowiek ten, podparł się w biodrach i spoglądał Dicksonowi prosto w oczy, śmiejąc się głośno.

Człowiekiem tym był Fox!

Maszynownię zaległa teraz para tak gęsta, że za nią skryła się na chwilę twarz tego niezwyklego zbrodniarza. Żar panował tutaj nie do zniesienia. Statek niewątpliwie pędził z szybkością zawrotną.

Po chwili rozległy się pukania do drzwi oddziału maszyn. Ale te drzwi i inne były zamknięte.

Z za oparów wyłoniła się znów sylwetka Foxa. Zbrodniarz stał jak posąg — niewzruszony, nie czuły na piekło, jakie go otaczało.

— Jakże ci się ten pomysł podoba? Prawda, że dobry, przyjacielu Dickson? Na żagłowiec wysłałem tylko miss Mabel — mą wierną pomocnicę i towarzyszkę. Sam w ostatniej chwili wyrzuciłem palacza, umorusałem się tak, że matka by mnie nie poznała i zabrałem się tutaj do roboty. Mam dobre pomysły, nieprawda, przyjacielu?

Dickson nie wątpił, że Fox coś knuje i że gotuje nową zbrodnię. Ale co miał na myśli — tego detektyw nie mógł się domyśleć. Rzecz tylko ze spokojem:

— Moje najgłębsze uznanie, mistrzu Fox. Ale zdaje mi się, że się pan trochę pośpieszył. Mam pana w rękę, Fox.

— Nie podzielam tego zdania — rzekł Fox i schylając się gwałtownie, porwał duży łom z ziemi, aby nim zwalić z nóg detektywa.

Ale Dickson był przygotowany na ten lub inny atak.

Jeden odskok i cios trafił w próżnię.

W następnej chwili zdołał Dickson schwycić złoczyńcę w pasie. Szamotał się z nim teraz z całej mocy i choć Fox był silny jak Herkules, ale detektyw, w szalonym gniewie i zapamiętałości, jakby zdwoił swe siły i nie ustępował temu siłaczowi. Rzucił Foxem o ścianę i pragnął wpaść nań z rozbiegu, gdy nagle pochylenie statku zbiło go na chwilę z nóg.

Fox leżał jeszcze, mocno oszołomiony.

W następnym momencie dosłyszał detektyw coraz ostrzejsze dobijanie się do drzwi.

Przez jedną sekundę zastanawiał się Dickson i wahał, co uczynić. Czy, uzyskawszy znów równowagę dopaść Foxa, czy też, korzystając z jeszcze jednej chwili — otworzyć drzwi. Fox leżał jeszcze ciągle nieruchomy, choć otwierał już oczy i poruszał rękami.

Detektyw postanowił otworzyć drzwi. Walka w tym wąskim pomieszczeniu była nad wyraz trudna. Detektyw w każdej chwili mógł odnieść śmiertelne oparzenie przez zetknięcie się z rozpalonymi ścianami kotła. — Nie było zresztą najmniejszej wątpliwości, że pod tym ciśnieniem wybuch mógł nastąpić lada chwila. Trzeba tedy było jak najprędzej wpuścić pomoc.

Dickson rzucił się ku drzwiom.

Fox widząc to, jakby nagle nabrał sił. Zerwał się na równe nogi i rzucił się znów na detektywa.

Walczyli teraz obaj z całą świadomością, że walczą o życie, że od tej walki zależy może nawet losy osób trzecich: statku, jego pasażerów i załogi.

Tymczasem pukanie przeszło w formalne bombardowanie drzwi.

— Otwierać! — wołał kapitan. — Wylecimy w powietrze! Co się tam dzieje? Otwierać!

Fox schwycił Dicksona za gardło i znów ścisnął go stalowymi palcami. Napadnięty zadał mu cios kolanem w żołądek.

Fox jęknął, ugiał się, ale palców nie rozluźnił.

— Zginiesz! — charczał Fox. — Zginiesz, choćby razem ze mną!

Od kotła szła ognista poświata. Żar stawał się nie do zniesienia. Dickson czuł, że mdleje.

Nagle do uszu jego dobiegł znajomy głos:

— Jeszcze chwilę, mistrzu! Idziemy z pomocą!

To wołał Tom Wills, wierny pomocnik i ukochany uczeń Harry Dicksona. Ten głos przyjaciela dodał Dicksonowi nowych sił i otuchy. Ostatkiem sił szarpnął się, odepchnął od siebie Foxa i zaraz poczuł, że oddycha nieco swobodniej.

Jednocześnie do strony drzwi zadudniły uderzenia siekier i młotów. Trzasnęły deski. Rozległo się jedno jeszcze uderzenie, silniejsze od innych i drzwi, wywalone z futryny z łomotem wpadły do kotłowni.

Była to już ostatnia chwila dla Dicksona.

Uczynił tylko dwa — trzy kroki ku drzwiom i padł na progu.

Był zlany potem, skrwawiony, miał na sobie podarte ubranie niemal w strzępy — był wyczerpany do ostatka.

Kapitan dopadł do kurków i wentyli. Zakręcił je. Drgania ustały.

Fox, korzystając z tego, że Tom i jego pomocnicy myśleli tylko o Dicksonie, a kapitan i ludzie z załogi o kotle, wymknął się.

Dickson widział złoczyńcę, jak przebiegał koło niego po schodach. Uniósł się, aby za nim podążyć.

Ale w tej chwili poczuł detektyw, że jakaś przemożna, nadludzka siła unosi go w górę. Zdawało mu się, że gdzieś obok piorun uderzył. Schody, wąskie, żelazne, prowadzące w dół statku — wygięły się niczym sprężyna i wyrzuciły Dicksona.

Dym i para, kawały drzewa i żelastwa, odłamki szkła i blachy, wszystko to trysnęło z okrętu w górę. Dickson zdołał jeszcze zdać sobie sprawę z tego, co się stało: eksplodował kocioł!

Eksplodzja mogła nastąpić właśnie dlatego, że kurki i przeloty zostały zamknięte zbyt gwałtownie — para nie miała ujścia do tłoków i rozsadziła kocioł.

Tom, miss Copper i Dupont rzucili się ku łodzi ratunkowej. W chwili, gdy woda wtargnęła na pokład — Dickson zdołał schwycić się maszty, leżacego już na pokładzie, złamanego przez eksplozję w nasadzie.

Po chwili statek zaczął tonać.

Dickson zdał sobie sprawę, że czeka go zguba niechybna, jeśli wypuści z rąk zbawczy maszt. Udało mu się wspiąć na tę grubą belkę okrakiem. Czuł się teraz nieco pewniejszy. Po minucie był już na wodzie na swej zbawczej kłodzie.

Było już koło świtania. Detektyw rozglądał się za swymi przyjaciółmi. Nie mógł ich nigdzie dojrzeć. Czyżby spali już snem wiecznym na dnie Azurowego Morza Śródziemnego?..

Gdzie jest Fox?.. I jego nie było widać!.. Co za straszny przestępca — myślał detektyw — który gotów był kosztem bodaj swego życia zgładzić swego wroga. Czy jeszcze się z nim wypadnie kiedy spotkać?.. Czy może i on przynajmniej zginął w tej katastrofie?..

Detektyw wodził wzrokiem po lekko kołyszących się falach.. Nigdzie żywego ducha.. Poczul, że dławi go w gardle żal po Tomku, po miss Copper i po owym trzecim, najświeższym pomocniku — detektywie francuskim.

Detektyw pocieszał się jednak, że ma pole widzenia bardzo ograniczone, że część horyzontu zasłaniały mu pływające ściany kajuty górnego pokładu.

Ale oto w następnej chwili dojrzał detektyw coś ciemnego, na razie tylko punkcik, jakby zbliżający się ku maszтови.

Któż to mógł być?.. Człowiek czy ryba?..

Minęło kilka minut. Teraz już detektyw był pewien. To równymi i rytmicznymi ruchami płynął w jego kierunku jakiś człowiek.

Tom! — uradowało się serce detektywa.

Ale już po chwili detektyw zbladł. To płynął.. Fox!

Zbrodniarz uniósł głowę z nad wody i poznał detektywa. Jego ruchy stały się na chwilę mniej rytmiczne. Pluskał się i uczynił ruch, jakby chciał zawrócić. Ale w następnej chwili snać zmienił zamiar, gdyż szybko popłynął w kierunku masztu.

Fox — wyczerpany do ostatka — chwycił się wreszcie drugiego końca belki.

Dicksonowi wystarczyło teraz jednego tylko ruchu — aby zgładzić przeciwnika. Gdyby silnie poruszył kłoda — Fox, już zupełnie bezsilny, wpadłby do wody, a potem wystarczyło tylko nie dopuścić go do masztu, aby się go pozbyć raz na zawsze.

Ale takie rozprawienie się z przeciwnikiem nie leżało w zwyczajach Harry Dicksona, który ani na chwilę nie zapominał o zasadach rycerskości.

Patrzył tedy ze spokojem, jak Fox usadowił się na drugim końcu masztu.

Dzieliła ich teraz przestrzeń zaledwie kilkumetrowa.

Bandyta drżał na całym ciele. Spoglądał na detektywa wzrokiem pełnym nienawiści.

Fox sięgnął do kieszeni i siląc się na ironię, zaczął:

— Piękna pogoda, panie detektywie, prawda?.. Nareszcie trochę sobie człowiek wypocznie i zażyje kąpieli morskiej..

Fox mówił to tylko po to, aby odwrócić uwagę Dicksona. Błyskawicznym bowiem ruchem wyjął z kieszeni rewolwer, wymierzył i pociągnął za cyngiel.

Dickson nie zdążył uczynić najmniejszego gestu.

Ale zbrodniarz nie liczył się z wodą, która dostała się do naboju i do rewolweru. Broń nie wypaliła.

Lotr, który w tak podstępny sposób gotów był odpłacić Dicksonowi za jego rycerskość, nagłe spojrział ku wodzie i krzyknął w panicznym przestraszku:

— Rekin! Jesteśmy zgubieni!

Potężna bestia o błękitnym połysku, je na z tych, które często wpływają na te wody, polowała już na dwóch rozbitków.

Dickson czym prędzej położył się na maszcie. To samo uczynił Fox.

Z właściwym sobie spokojem, dobył teraz Dickson z kieszeni niewielki pakunek. Był to opakowany hermetycznie rewolwer.

Detektyw odpakował broń. Spojrzył na Foxa. W oczach tego zbrodniarza bez czci i wiary, tego

mordercy bez uczuć ludzkich — był teraz łęka i zwierzęca uległość.

Jednej kuli starczyłoby, aby z nim nareszcie skończyć..

Ale Dickson nie był katem i nie strzelał nigdy do człowieka bezbronnego. Detektyw wiedział dobrze, że ten wróg przy lada okazji podniesie głowę.. Miał zresztą dowód przed chwilą, w jak niski sposób chciał się Fox rozprawić ze swym prześladowcą..

Ale mimo to, Dickson skierował broń w inną stronę: ku rekinowi.

Gdy mierzył spokojnie w paszczę bestii usłyszał westchnienie ulgi, które dobyło się z piersi Foxa.

Padł strzał.

Rekin zatoczył szalonego młynka. Zakottowała się woda i zabarwiła się krwią.. Dickson trzymał się teraz ze wszystkich sił masztu.

Po chwili zaległa cisza.. Rekin poszedł na dno. Ku swemu zdumieniu stwierdził Dickson, że podczas, gdy walcząc ze śmiercią, rekin rzucał masztem — musiał Fox spaść z tej, prawdziwie ostatniej deski ratunku. Nie było go teraz na drugim końcu kłody!

Czyżby zginął?.. Czyżby los wymierzył mu sprawiedliwość?..

Rozglądając się wokół, detektyw dojrzał zdaleka ciemną sylwetkę dużego statku.

Okręt zbliżał się. Harry Dickson czynił rozpaczliwe gesty i machał chusteczką.

Statek nie zmienił kursu. Nic nie świadczyło o tym, aby ktoś z pokładu zauważył rozbitka.

Dickson mógł teraz gołym okiem odczytać nazwę okrętu: „Edgard Quinet“ glosiły wielkie litery. Był to zatem krążownik francuski.

Dickson krzyczał, ile sił w płucach. Jeśli go miną — będzie zgubiony.

Krążownik szedł dalej pełną parą.

Ale oto z jego pokładu spadł na wodę mały stateczek. Od wielkiego czarnego okrętu odbiło małe białe czółno.

Dickson czuł, że jest bliski płaczu z radości. Był uratowany! Zauważyli go i wysłali łódź ratunkową.

★

Po upływie pół godziny detektyw stał już na pokładzie krążownika i ścisnął dłoń kapitanowi.

Gdy po chwili zmierzał ku wyznaczonej kajucie — ujrzał ku swej wielkiej radości Toma Willisa, miss Copper i Duponta, którzy wyszli mu na spotkanie. Tom aż się rzucił w objęcia mistrzowi.

Harry Dickson po powitaniu z przyjaciółmi — jakby coś sobie przypomniął. Zawrócił do kapita-
na i prosił go o podjęcie poszukiwań za jeszcze jednym rozbitkiem. Nazwiska tego człowieka, a miał Dickson na myśli Foxa — detektyw nie podał.

Poszukiwania te nie dały rezultatu.

Tom opowiedział po krótko swe przeżycia. Płynął czas dłuższy wraz z Dupontem, pomagając utrzymać się na wodzie miss Copper, która niczym na tratwie siedziała na jakichś drzwiach, wyrzucanych ze statku. Napotkali wreszcie na krążownik francuski i zostali wzięci na pokład.

Z załogi statku chyba nikt nie zginął. Tom widział szalupę z całą załogą. Nie dostrzegli trójki rozbitków, choć widać było, że szukają swych pasażerów. Popłynęli ku brzegom afrykańskim.

Krażownik szedł w kierunku wyspy Korfu — należącej, jak wiadomo, do Grecji.

Po kilku godzinach żeglugi, do krażownika podpłynęły dwie małe motorówki. Kapitan statku wojennego radził, aby tymi motorówkami popłynęli rozbitkowie na wyspę.

Dickson spoglądał właśnie na morze. Obok niego stał kapitan okrętu, któremu detektyw jeszcze raz wyrażał swą wdzięczność za ocalenie.

Zdala ukazał się mały statek żaglowy.

Oczy detektywa i doświadczonego żeglarza — kapitana krażownika „Edgard Quinet“ skierowały się na bielejący na horyzoncie żagiel.

— To ciekawe! — zdziwił się kapitan. — Ta żaglówka płynie wprost z Algieru.

— Z Algieru? To bardzo ciekawe, panie kapitanie. Czy mogę prosić o lornetę?

Dwa statki zbliżały się ku sobie. Okręt wojenny Republiki Francuskiej — jak wszystkie statki francuskie — płynął z wielką szybkością.

Po chwili Dickson już mógł rozróżnić ludzi na pokładzie.

Nie mylił się. Na pokładzie żaglówki, płynącej z Algieru, stała Kreolka — pomocnica i współpracownica Foxa!

Motorówki sygnalizowały swe nadejście.

Kapitan wydał rozkaz zatrzymania okrętu.

„Edgard Quinet“ kołysał się na falach.

Dickson wydał krótko jakieś rozkazy Dupontowi, po czym wsiadł wraz z Tomem i miss Copper na pokład jednej z motorówek.

Dupont zajął miejsce na pokładzie drugiej. Ta łódź ruszyła ku bielejącej w dali żaglówce.

Podczas, gdy Dickson i para jego młodych pomocników kierowała się ku wyspie Korfu, detektyw francuski rozpoczął pościg za Kreolką.

Falszerze monet

Od powyżej opisanych wypadków minęło kilka tygodni.

Harry Dickson daremnie wyczekiwał wiadomości od swego francuskiego kolegi. Dupont zmieniał ciągle miejsce pobytu, a ostatni jego list z Tunisu głosił, że ujęcie Kreolki jest już tylko kwestią godzin.

Niestety, mijał już drugi tydzień, a Dupont nie dawał znaku życia.

Harry Dickson niepokoił się o detektywa francuskiego bardzo poważnie. Przypuszczał, że Kreolka wciągnęła go w zasadzkę... Dickson przygotowany był na najgorsze wieści o losie swego sojusznika.

Pragnąc, mimo wszystko, dać Dupontowi, gdyby żył jeszcze, możliwość skontaktowania się ze sobą — Harry Dickson nie chciał opuszczać wyspy Korfu. Przybycie tak słynnego detektywa na wyspę wywołało oczywiście wśród ludności wielką sensację. Pragnąc jednak odosobnienia i spokoju — Harry Dickson, równie niespodzianie, jak przybył na wyspę — zniknął z niej.

W przebraniu rybackim detektyw i jego pomocnik zamieszkali w odludnej chacie nad morzem. Miss Copper wstąpiła jako pielęgniarka do szpitala, pozostając oczywiście potajemnie w stałym kontakcie z Dicksonem.

W międzyczasie jednak zaszły nowe wydarzenia, które całkowicie pochłonęły uwagę i czas obu detektywów.

Oto w ciągu ostatniego tygodnia popełnione zostały na wyspie tajemnicze zbrodnie, które mimo wysiłków policji greckiej pozostawały niewyjaśnione.

Choć z jednej strony wszystko przemawiało za tym, że Fox nie żyje, z drugiej jednak strony Dickson miał głębokie wewnętrzne przeświadczenie, że te tajemnicze zbrodnie są właśnie jego dziełem.

Gdy Tom przekładał swemu mistrzowi, że przecież Fox zginął w jego — Dicksona — oczach, detektyw nie miał na te perswazje odpowiedzi. Instynkt jednak mówił mu, że Fox żyje i że nadal zna czy zbrodniami swój nikczemny żywot.

Był akurat wieczór. Obaj detektywi przybili na małej łodzi do brzegu.

Dickson pierwszy przekroczył próg chaty, w której zamieszkiwał z Tomem i zamierzał właśnie zapalić lampę, gdy usłyszał nagle dobiegający z ciemności rozkaz:

— Nie zapalać lampy!

Dickson zaskoczony bezwiednie opuścił ręce. Począł wpatrywać się w ciemność, aby odnaleźć człowieka, który przed chwilą się odezwał.

Ale w izbie panowały kompletne ciemności. Dickson zdecydowanym ruchem ponownie potarł zapalną.

— Nie zapalać zapalniczki, do licha!

Nie bacząc na ten rozkaz, Dickson zapalniczkę zapalił. Zgasła ona jednak niezwłocznie.

Człowiek w ciemności, jakby triumfując z takiego obrotu sprawy, krzyknął teraz:

— Mówiłem, żeby zapalniczki nie zapalać, Dickson! Nie zobaczy mnie pan i tak. Nim pan zdąży się rozejrzeć — zastrzelę pana, jak wróbla!

Teraz już detektyw nie miał najmniejszej wątpliwości. To był głos Foxa. Fox był tutaj, w tej tu izbie. Fox żył!

Dickson zdał sobie sprawę, że jest całkowicie zdany na łaskę i niełaskę tego zbira. Nie było sensu zapalać światła, aby się wystawiać na wyraźny cel jego kulom.

Detektyw postanowił tedy czekać na przyście Toma. Do tego czasu, a mogło to trwać przecież tylko chwil kilka — należało jakoś „zabawić“ Foxa.

— Siadać, Dickson! — rozkazał Fox.

— Dziękuję, wolę stać — padła spokojna odpowiedź.

Detektyw sięgnął po broń.

Ale w tej samej chwili wyrzwał księżyc z za chmury i oświecił pokój.

— Odłóż broń, Dickson! Skończymy z tymi zabawkami. Skończymy w ogóle z zabawą w kotka i myszkę. Przed tym chciałbym się tylko dowiedzieć, co to za bałwan próbował deptać po pięcie mej pomocnicy — miss Mabel?...

Detektyw drgnął.

Fox wykrył już Duponta. A jeśli tak — to biedny kolega francuski był w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Dickson nie odpowiedział na to pytanie. Chciał wszelkimi siłami zyskać na czasie. Gdzież ten Tom się podziewał?... Pewnie sieci rozpiął, pewnie łódź wywracał...

Fox podjął znowu:

— Dziwi się wielki Dickson, że tu jestem, że żyję... Czy nie jestem genialnym zbrodniarzem? Byłem już bliski wyczerpania, ale w ostatniej chwili wyratowała mnie jakaś łódź rybacka... Nie brak ich na tych wodach. Spoczęłem się potem z Mabel.

I pomyśleliśmy sobie, że Korfu — to bardzo miła Księżyc zaszedł. Dickson dobył teraz broni, wyspa. I jesteście na Korfu. gotów wypalić, gdyby znów rozległ się głos jego wroga.

Ale uszu detektywa dobiegł teraz tylko szelest papieru, jakby ktoś arkusz papieru rozwijał i potem nastąpiła zupełna cisza.

Przerwało ją raptowne otwarcie drzwi.

W progu stał Tom.

— Co się stało, mistrzu!..

Ostatniego wyrazu młody człowiek nie zdołał wymówić do końca. Otrzymał potężny cios w podbródek i padł na wznak. Ciemna jakaś sylwetka przeszła po nim.

Fox, nieprzygotowany na przybycie Toma, ratował się ucieczką. Dickson wpadł za nim.

Ciemność była teraz nieprzenikniona. Detektyw wypalił kilkakroć za zbiegiem, ale był świadom, że strzały te muszą chybić.

Po kilku chwilach nadbiegło kilku rybaków i znaleźli się jakiś niedoświadczony policjant.

Wszyscy rzucili się na poszukiwanie Foxa, ale oczywiście go nie znaleźli. Trzeba było te poszukiwania odłożyć do następnego ranka.

W izbie Tom, który już przyszedł do siebie po owym knock out, zadanym mu przez Foxa — zapalał właśnie lampę.

Gdy tylko zrobiło się w pokoju jasno — Dickson dojrzał na stole sporych rozmiarów arkusz.

Ten właśnie arkusz pozostawił Fox — to było jasne.

Dickson rzucił okiem na papier i zbladł.

Był to nalepiony na gruby papier mały wycinek z gazety.

Wycinek nosił datę sprzed kilku dni i pochodził z pisma ateńskiego, redagowanego w języku francuskim.

Oto treść tego wycinka:

„Durazzo, korespondencja własna. — Jak donosi nasz własny korespondent, rybacy z Durazzo znaleźli niedaleko portu zwłoki mężczyzny w średnim wieku.

Z papierów, znalezionych przy zmarłym, policja ustaliła, iż był to Armand Dupont, detektyw francuski. Ostatnim miejscem pobytu denata był Algier. Ciało zostało wydane posłowi w Tiranie, który zajmie się transportem zwłok do Paryża.

Dochodzenie nie zostanie jednak na tym zakończone, gdyż kilka ran na ciele zmarłego zdaje się świadczyć, iż padł on ofiarą zbrodni. Władze prowadzą w tej sprawie energiczne poszukiwania. Na razie sprawa przedstawia się tajemniczo“.

— Masz, czytaj — rzekł Tom do swego ucznia.

— Co za straszny zbrodniarz — westchnął Tom.

— Dupont padł przecież z ręki Foxa, to nie ulega wątpliwości. Jak długo będzie ten nędznik hulał bezkarnie?..

W oczach detektywa pojawiły się jakieś błyski. Zaciśnął pięści i rzekł uroczyście:

— Zapewniam cię, Tomku, że już niedługo. Ja, albo on! Raz musi być koniec!

Toma Wilisa aż dreszcz przeszedł. Nie widział jeszcze nigdy takiej zawziętości w swym zawsze energicznym, ale zawsze beznamietnym mistrzu. Te słowa brzmiały jak wyrok śmierci, jak sentencja wykreślająca Foxa spośród ludzi, którym jeszcze długo żyć sędzono.

Fox, jakby świadom niebezpieczeństwa, które mu groziło, znów zniknął z horyzontu i ukrywał się tak dobrze, że wszelkie poszukiwania Dicksona były bez rezultatu.

Dopiero piątego dnia nastąpił nagły zwrot w wypadkach.

Już nieco za miastem zauważył detektyw młodą niewiastę, zdrażającą lekkim krokiem za miasto.

Dicksona tknęło coś w pierwszej chwili, gdy tylko tę kobietę dojrzał. Jej ruchy i gesty, jej sposób chodzenia i trzymania głowy wydawał mu się znajome.

Przez chwilę Dickson czynił daremne wysiłki, aby domyśleć się, skąd zna te ruchy, aby sobie uprzytomnić, gdzie widział osobę o tym właśnie sposobie chodzenia.

I nagle zupełnie, gdy już był pewien, że nie uda mu się wywołać z mgławicy pamięci obrazu tej, która tak się akurat porusza — przypomniał sobie...

Tutaj, przed nim, o kilkadziesiąt zaledwie kroków, kroczyła Kreolka.

Detektyw miał pod tym względem pewność niezłomną. Starał się choćby tylko ukradkiem rzucić okiem na jej twarz. Ale było to niemożliwe. Kreolka miała twarz zasłoniętą gęstym, czarnym welonem, jakby była w głębokiej żałobie.

Ten fakt, zamiast nasunąć Dicksonowi wątpliwości, utwierdził go w mniemaniu, że ma do czynienia właśnie z ukrywającą się przed okiem ciekawych — Kreolką.

Z zachowaniem jak największej ostrożności, Dickson począł śledzić sojuszniczkę i pomocnicę swego śmiertelnego wroga.

Trzymał się od niej stale w przyzwoitej odległości, ukrywał się jak mógł za narożami budynków i za murami ogrodzeń ogrodów, a gdy tajemnicza dama, która na pewno była Kreolką, znalazła się wreszcie za miastem i wkroczyła do małego gaju — Dickson skrył się za pnem drzewa i tak skradając się, krok za krokiem, nie tracił jej z oczu.

W gaju stał niewielki pałacyk. Zdala widoczne były litery jego nazwy. Był to zameczek „Achilleon“, wzniesiony w tym miejscu w roku 1890 przez cesarzową austriacką Elżbietę — której dziwne dzieje życia i tragiczny koniec nie przestają być tematem fantazji pisarzy i dociekań historyków.

Oglądając się kilkakrotnie, młoda kobieta obezła pomnik, wystawiony tu przez rozmiłowaną w poezji monarchinię wielkiemu poecie niemieckiemu Henrykowi Heinemu, i zniknęła w budynku.

Zamknęła za sobą drzwi bezszelestnie, oglądając się kilkakrotnie.

Dickson nie chciał ryzykować i wolał tymi samymi drzwiami nie wchodzić. Na parterze otwarte było okno.

W jednej chwili Dickson wskoczył na parapet, uchylił okno, rozejrzał się po małym pokoiku niemal zupełnie nie umeblowanym i — znalazł się we wnętrzu budynku.

Drzwi pokoju były otwarte. Długi korytarz prowadził w głąb mieszkania, wreszcie schody — ciemne i kręte, wiodące do piwnic. Instykt poddyktował Dicksonowi, że należy pójść właśnie tymi drzwiami.

Detektyw szedł teraz po omacku, bardzo powoli i bardzo ostrożnie.

Wreszcie uszu jego dobiegł jakiś rytmiczny stukot oraz szepty kilku conajmniej ludzi.

Drogę zagradzała teraz gruba draperia, przesłaniając wejście. U góry nad rodzajem okapu nad drzwiami, była dość szeroka szczelina. Przez nią szedł promień jasnego światła do ciemnej piwnicznej klatki schodowej. Tam wewnątrz ludzie pracowali śnać przy mocnym świetle.

Dickson uchylił zlekka materię.

To, co ujrzał przeszło jego najśmielsze oczekiwania.

W sklepionym podziemnym pomieszczeniu pracowali ludzie przy fabrykacji fałszywych monet srebrnych. Była to doprawdy cała fabryka, z wielką prasą hydrauliczną, tygłem elektrycznym do wytapiania metali, stołem do sortowania, urządzeniami do posrebrzania, nacinania brzegów i t. d.

Teraz Dickson zrozumiał skąd się brały owe niezliczone fałszyfikaty, jakie ostatnio załazy Francję, Anglię i Włochy. Tutaj mieściła się wytwórnia fałszywych monet, tutaj pracowali fałszerze, których daremnie poszukiwała policja nie tylko trzech państw poszkodowanych, ale i policja kilku innych krajów.

Dama, domniemana Kreolka, zdjęła teraz czarny welon z twarzy. Była odziana w ciemną suknię, na którą narzuciła kitel roboczy. Śnać i ona tu pracowała. Dickson znów się jej uporczywie przyglądał. Ujrzał teraz jej kruczo-czarne włosy. Takie włosy miała tylko jedna Kreolka. Czekał, aby zobaczyć jej twarz.

Kreolka odwróciła się wreszcie ku niemu.

Detektywomal nie wydał okrzyku zdumienia. Miał przed sobą osobę białą, o wyjątkowo białej cerze, a Kreolka była śniada, prawie jak Mulałka.

Czyżby się mylił?...

To odkrycie na chwilę wytrąciło detektywa z równowagi. Może uczynił jakiś ruch niebaczny, może w jego spojrzeniu było aż tyle zdumienia, że je wyczuła — dość, że zwróciła się nagle, ku zasłonie u drzwi.

Dojrzała Dicksona. Nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. Oczy ich spotkały się. Dickson wiedział już teraz na pewno, że miał do czynienia z Kreolką, choć teraz białą jak urodzoną Europejką. Dickson wiedział również, że gdzieś w pobliżu musi być Fox i że ta cała tajemnicza wytwórnia fałszerska była jego dziełem.

Kreolka krzyknęła, dopadła stolika, wyciągnęła z szufladki rewolwer i strzeliła kilkakrotnie.

Ludzie pracujący nad fałszywymi monetami, ogarnięci paniką, rzucili się do ucieczki.

W głębi podziemnej sali otworzyły się jakieś zamaskowane drzwi. Wszyscy pchając się i potrącając — rzucili ku tym drzwiom.

Dickson wiedział, że teraz atak będzie najlepszą obroną. Miał przeświadczenie, że wszelkie wyjścia od góry będą również zamknięte, że lepiej uczyni, gdy zaatakują tych, mocno wystraszonych ludzi, niż gdy będzie się ratował ucieczką. Wypadł więc na środek podziemia — wyladowując magazyny swych dwóch rewolwerów.

Kreolka złożyła się i wystrzeliła, ale strzał chybił.

Niemal koło tego samego miejsca, gdzie stała pod ścianą otworzyły się drugie sekretne drzwi. Kreolka i dwaj mężczyźni rzucili się ku temu wyjściu. Podziemie pustoszało.

Wraz z kobietą w bieli przedostał się przez te drzwi jeden tylko mężczyzna. Przed drugim drzwiami się zatrzasnęły.

Harry Dickson dopadł do złoczyńcy, wykreślił mu ramę: przykładając lufę rewolweru do jego skroni, krzyknął:

— Otwórz drzwi! Liczę do trzech!

Drżąc na całym ciele, złoczyńca nacisnął jakiś niewidoczny guziczek. Drzwi się otworzyły.

Przed detektywem otwierała się teraz gardziel ciemnego, wilgotnego i zalutującego pleśnią tunelu. Nie wahając się ani chwili, detektyw wszedł do tego tunelu. Obawiając się, że gdzieś niedaleko czyhają na niego złoczyńcy, których ściagał — Dickson naładował magazyn obu rewolwerów i strzelił kilkakrotnie przed siebie i w bok.

Tylko echo zagrało w długim korytarzu podziemnych i tylko łomot sypiących się gruzów był na te strzały odpowiedzią.

Detektyw uczynił dziesięć, może dwadzieścia kroków gdy poczuł, że mu duszno. Jakby mu poczęło zasychać w gardle, jakby powietrze stało się ciężkie, niewymownie ciężkie.

Czy ten loch nie miał końca?...

Dickson starał się iść szybciej, ale czuł, że ma nogi z ołowiu, że w głowie mu huczy, a przed oczami ukazywały mu się teraz jakieś błękitne kręgi.

Jeszcze jeden krok... Jeszcze jeden... I ten, jeszcze je-den... Już os-tat...!

Jakieś gazy uderzyły w serce i płuca detektywa.

Dickson padł nieprzytomny.

Tajemnicze sanatorium

Z ciężką głową, z obolałymi członkami zbudził się Dickson i otworzył oczy.

Wzrok jego padł przede wszystkim na grube kraty. Zdawało mu się, że majaczy.

Uniósł się zlekka na wygodnej pościeli i rozejrzał się dokoła.

Leżał w klatce. Był w wielkiej sali, zdobnej tylko w białe-czarne ornamenty, o oknach zasłoniętych czarnymi kotarami, rozchyłonymi zlekka i przepuszczającymi skąpe światło przez mlecznobiałe szyby.

Opodał widniały cztery takie same kraty. Leżeli za nimi lub siedzieli na pościeli ludzie o twarzach chudych i kościstych, jak szkielety.

U sufitu płonął kaganek, wydzielający wonny dym. Pod oknami stały na białych półkach butelki, słoiki i fiolki, a w gablotkach — narzędzia chirurgiczne.

Całość sprawiała wrażenie częściowo sali szpitalnej, częściowo jakby jakiejś sali obrzędowej tajemniczej sekty.

Detektyw dojrzał jeszcze jeden szczegół niezwykły. Oto w kącie, na stalowym łańcuchu kroczył tu i tam — lampart.

Bestia nie była za kratą. Za kratą za to byli w tej dziwnej sali ludzie.

Otworzyły się nagle jakieś drzwi i młoda niewiasta, w białym kitlu i kwefie, ze znakiem czerwonego Krzyża na lewej piersi — weszła do sali.

Dickson znów nie wierzył własnym oczom.

— Miss Copper! — zawołał, — Miss Copper!

Nie było bowiem najmniejszej wątpliwości, że sanitariuszka w tym dziwnym domu była przecieź młoda i sympatyczna pomocnica Harry Dicksona, Amerykanka, która przyłączyła się jeszcze w Nowym Jorku do pościgu za Foxem!

Pielegniarka zatrzymała się przed kratą Dicksona. Jakby nie dosłyszała swego nazwiska — tak była na wszystko obojętna.

— Miss Etel! Nie poznaje mnie pani?

Młoda dziewczyna podniosła teraz oczy na Dicksona. Detektyw dojrzał w nich coś nieokreślonego, co wzbudzało niepokój.

— Jestem siostra Maria, — rzekła młoda dziewczyna. — Nie nazywam się Etel.

— Nie wie pani, kim jestem?

— Owszem, wiem.

— Więc kim jestem, Miss Copper.

— Nazywam się Maria. Jestem pielęgniarką. Opiekuję się chorymi. A pan jest Mr. Paddington.

— Paddington? Czy pani nie jest chora, Miss Copper?

— To nie ja jestem chora, tylko pan, Mr. Paddington.

Harry Dickson poczuł, że traci resztę nadziei na wydostanie się z tego dziwnego szpitala.

— Czyżby pani stała się współniczką tego bandyty. Czy mnie pani doprawdy nie poznaje?... Miss Etel, niech-że się pani ocknie! Jestem Harry Dickson.

Na twarzy młodej dziewczyny pojawił się uśmiech pełen wpolczucia.

— Harry Dickson!... Żal mi pana. Znow ma pan atak manii wielkości.

— Manii wielkości? Czy nie zna pani Harry Dicksona? Czy się z nim pani nigdy w życiu nie spotykała?

— Owszem. Ale Harry Dickson nie żyje!

— Kto to pani mówił?

— Pan doktor Jarumier.

— Któż to taki, ten pan dr. Jarumier.

— Pan dr. Jarumier jest właścicielem i dyrektorem tego sanatorium.

— Sanatorium?... — powtórzył detektyw. — I to nazywa pani sanatorium? Ja nazywam ten przybytek jaskinią przestępców. Rozum pani straciła, Miss Copper, czy co? Czy nawet swego nazwiska pani nie pamięta?...

— Może i pamiętam. Słyszałam je kiedyś, ale teraz nazywam się siostra Maria.

— Czy i to powiedział pani dr. Jarumier.

Miss Etel nic nie odpowiedziała i skierowała się ku jednemu z chorych, który począł przeraźliwie krzyczeć i wzywać pomocy.

Dickson tymczasem bił się z myślami. Czyżby się mylił? Czyżby ową siostrą Marią miała nie być Miss Copper. I co się tej młodej dziewczynie stało? Oszalała, czy co?...

Nagle Dickson jakby wszystko zrozumiał.

— Siostrze Mario! — odezwał się grzecznie.

— Proszę pana, Mr. Paddington.

— Czy mógłbym się przejrzeć w lustrze?

— Zaraz je panu przyniosę.

Wyszła z sali lekkim krokiem i po chwili wróciła z niewielkim lusterkiem w ręku.

Jeden rzut oka na swe oblicze w lusterku wystarczył Dicksonowi, aby zrozumiał wszystko. Zmienił się przecież nie do poznania! Policzki zapadłe, oczy na pół zamknięte, usta zwiędłe i nawet włosy nie tego samego koloru: zrudziały jakby i wypłwiałały...

Oczywista, że nie wyglądał tak, jakim go znała miss Etel i dla tego go pewnie nie poznała.

Jednocześnie detektywowi ścisnęło się serce. Poznał w tym wszystkim rękę Foxa.

W lochu, gdy stracił przytomność, dostał się w ręce tego strasznego przestępcy. I za pomocą

środków chemicznych potrafił Fox w ten sposób wyniszczyć organizm detektywa, że twarz jego stała się niemal starcza. Fox również zahypnotyzował Miss Copper i dźwignął ją teraz pod swym przemożnym wpływem.

Wściekły i już zupełnie bez panowania nad sobą, począł Dickson szarpać kraty swej klatki.

Czego ten Fox teraz chciał dopiąć przez tę komedię z sanatorium? Po co go tu zamknął?...

Przed klatką znalazła się znow pielęgniarka.

— Bardzo pan dziś niespokojny, Mr. Paddington.

— Czy dr. Jarumier podał pani moje nazwisko?

— Tak jest. Czyżby je pan zapomniał? Pan doktor mówił mi, że pochodzi pan z Anglii, że ma pan nawet duży zamek i że jest pan bardzo chory. Ci wszyscy pacjenci, którzy tu są, też są bardzo chorzy. Pan doktor bardzo wątpi, czy uda mu się ich uratować, tak samo zresztą jak i pana. Ale nasz doktor nigdy nie rezygnuje.

— A co mi dolega, siostrze?

— Czyżby pan zapomniał?... Jest pan chory umysłowo. To bardzo ciężka choroba.

Dickson pojął teraz, że nic go nie uratuje prócz zimnej krwi i przynajmniej pozornego pogodzenia się z losem. Nie wolno mu było przeciwstawić się rzekomej siostrze Marii.

— Tak, — rzekł, — pamiętam. — Istotnie jestem chory umysłowo. Ale mogę być wyleczony, nieprawda, siostrze Mario?...

— Nie traćmy nadziei, Mr. Paddington.

— Teraz przypominam sobie, że się nazywam Paddington... Przed kilku minutami wydawało mi się, że jestem detektywem Dicksonem.

— No, widzi pan.

— Co za dziwna historia, siostrze. Czy można być kimś, kto już nie żyje?...

Miss Etel westchnęła ciężko.

— Biedny Mr. Dickson. Szkoda go, to był doprawdy wielki człowiek. Zginał tak tragicznie!

— Co mu się stało?

— Dr. Jarumier mówił, że zmarł na puchlinę wodną.

— To doprawdy rzadka i ciężka choroba. A kto go leczył?

— Nasz doktor, naturalnie.

— Dr. Jarumier?

— Tak jest. Mr. Dickson był doprawdy w dobrych rękach.

— I ja tak sędzę.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do sali wszedł mężczyzna wysoki, o długiej siwej brodzie i okularach w złotej oprawie. Odziany był w biały fartuch, a na piersiach miał wstążeczkę orderową.

Towarzyszyła mu młoda kobieta o kruczo czarnych włosach. I ona odziana była jak chirurg, szykujący się do operacji.

Teraz Dickson już nie miał najmniejszej wątpliwości — tą kobietą była Kreolka. Była biała, ale Fox, który w ciągu kilku dni przeobraził Dicksona w starca znał napewno sposoby, aby zmienić pigment Kreolki na zupełnie jasny. Zresztą metoda ta była już w użyciu w Ameryce, gdzie niejedyn Murzyn stał się dzięki niej, jeśli miał tylko rysy nie na wskroś murzyńskie, białym.

Pan doktor Jarumier obchodził swych chorych. Samozwańczy lekarz zbliżył się do klatki Dicksona.

— Jak się miewa nasz kochany Mr. Paddington, siostrze Mario?

— Dziś bardzo dobrze, panie doktorze.

Lekarz nachmurzył brwi.

— Czyżby miał przebliski świadomości?

— Tak jest.

— To ciekawe. Jakże się to objawiło?... Czy Mr. Paddington wie, że przez trzy tygodnie był bez przytomności?... Dopiero wczoraj dał pierwszy znak życia i już dziś miałby się czuć o tyle lepiej?

Dickson czuł, że Fox czeka na jakieś zaprzeczenie, aby właśnie dzięki niemu udowodnić pielęgniarce, że ten pacjent jest nieuleczalny. Ale Dickson miał się na baczności.

— Czuję się dziś doprawdy bardzo dobrze, panie doktorze i rad jestem, że mogę panu podziękować za troskliwą opiekę.

Fox skłonił się zlekka, po czym wskazał na Kreolkę:

— Nie mnie, a tej pani niech pan podziękuje. Ta pani jest jednym z najzdolniejszych psychiatrów. To ona się panem opiekowała, Mr. Paddington.

Detektyw skłonił się czołobitnie Kreolce.

— Czy nie mówił, że jest Harry Dicksonem, siostrzo Mario?

— Owszem, w pierwszej chwili tak. Ale zaniechał tej myśli.

— Więc już pan wie, że Harry Dicksonem pan nie jest i że ten człowiek nie żyje?

— Tak jest. Wiem o tym doskonale.

— To bardzo dobrze. A o swym życiu w Londynie przypomina pan sobie coś nie coś?

— O, nawet bardzo dobrze. Zachorowałem po skazaniu mego starszego syna na więzienie za defraudację.

— Dicksonowi załamał się głos, jakby chciał płakać.

— Mój syn na ławie oskarżonych, mój syn defraudantem! Czy to nie straszne? Czy od tego nie można dostać pomieszania zmysłów?... Niech pan sam powie, panie doktorze.

Dickson spoglądał teraz na rzekomego doktora oczami, w których zaszklily się łzy.

Nie trudno było detektywowi o łzy w tej chwili, gdyż był bardzo osłabiony, wyczerpany i zdenerwowany...

— Czy to nie straszne? — powtórzył.

— Tak, doprawdy, straszne. Bardzo panu współczuję.

Dr. Jerumier nie wychodził z podziwu. Dickson doprawdy zwariował. Wszystko się zatem układało się jak najlepiej.

Fox zwrócił się do siostry Marii.

— Mr. Paddington czuje się doprawdy o wiele lepiej. Mam nadzieję, że uda nam się go wyleczyć, siostrzo Mario.

Fox pochylił się do ucha swej towarzyszki i szepnął:

— Zwariował kompletnie...

Kreolka zatarła dłonie. W jej oczach pojawił się uśmiech, na który również bardzo dyskretnym uśmiechem odpowiedział Fox. Ta para złoczyńców wieszowała sobie sukcesu.

Wyszli.

— Mabel. — rzekł Fox do swej współniczki. — Zdobyliśmy wszystko. Wygraliśmy na całej linii: Miss Copper jest chora i w moim ręku. Dickson zwariował i niedługo umrze jako ciężko chory. Dupont załatwiony. Zaczniemy życie wolnych ludzi. Jeszcze tylko trzeba znaleźć tego młodzika Willsa, ale to już sprawa błaha.

Sala skazańców

Minął tydzień. Harry Dickson ani na chwilę nie wyszedł ze swej roli. Fox, który początkowo miał pewne wątpliwości — teraz przestał się już Dicksonem interesować. Nabral przekonania, że ma do czynienia istotnie z umysłowo chorym.

Z Miss Copper, czyli z siostrą Marią nawiązał Dickson stosunek pewnej zażyłości. Młoda dziewczyna jakby podświadomie czuła dawną sympatię i przywiązanie, które ją łączyło z detektywem i dawała tym uczuciom wyraz poprzez stan hipnozy, w którym trwała.

Tymczasem w rzekomym sanatorium działy się dziwne rzeczy. Co kilka dni przychodzili posługacze z noszami (twarze mieli zawsze zasłonięte maskami) i wynosili kogoś z chorych. Chorzy ci więcej do tej sali nie wracali.

Dickson począł się obawiać, że jego samego może również ten sam los spotkać.

Postanowił wy badać Miss Copper. Gdy przechodziła koło jego sali szepnął:

— Siostrzo!

— Słucham pana, Mr. Paddington.

— Czy nie prędko będę zdrow?

— Tego nie mogę powiedzieć. To zależy od pana doktora. Ale doktor jakoś nie jest z pana stanu zadowolony. Mówił, że trzeba będzie poddać pana zabiegowi.

— Cóż to za zabieg?

— Nie wiem. Ale wiem, że jest bardzo ryzykowny, że doktor stosuje go, gdy już nie ma ratunku.

— Czy pan doktor nie mówił kiedy będę poddany zabiegowi?

— Nie mówił dokładnie. Powiedział, że za kilka dni.

— Dziękuję, siostrzo.

— Bardzo proszę. Niech się pan nie lęka, może do tego nie dojdzie.

— Dziękuję.

Teraz już Dickson nie miał wątpliwości. Trzeba było działać natychmiast gdyż dni jego były policzone.

W jaki sposób się wydostać?... Była tylko jedna droga. Obezwładnić posługacza, przebrać się w jego ubranie i w ten sposób wydostać się.

Początkowo chory Paddington uważany był za niebezpiecznego dla otoczenia i dla tego podawano mu pożywienie przez kratę.

Gdy się jednak po kilku dniach przekonano, że ten chory jest nieszkodliwy, że trwa w swych urojeniach i że na wszystko się zgadza — posługacze zaczęli wchodzić do jego celi i stawiać mu jedzenie na stoliku.

Z tej zmiany trybu podawania posiłku postanowił Dickson skorzystać.

Już od kilku dni czekał aż nadejdzie chwila, w której posługacz w masce znajdzie się sam jeden w jego celi, gdy na sali nie będzie ani Miss Copper, ani Kreolki, ani — tym bardziej — Fosa.

Chwila ta nadeszła wreszcie. Dozorca wszedł do celi. Harry Dickson leżał w łóżku.

W chwili, gdy człowiek w masce zbliżył się do łóżka, gdy się pochylił nad chorym i postawił niewielką tacę z talerzami — wyciągnęły się ku jego gardłu nagle jak sprężyny dłonie detektywa.

Dozorca zdołał tylko jęknąć. Głosu ze siebie nie wydał i przerażony tą napaścią błagał wzrokiem o litość.

Dozorca zwał się jak kłoda na posadzkę. Padając, uderzył o kamienie. Był nieprzytomny na długie minuty. Dickson działał teraz z gorączkowym pośpiechem. Lada chwila mógł ktoś wejść.

Zdarł maskę z twarzy dozorca i sam ją przywdział, narzucił na siebie prążkowany kitel dozorca i jego biały fartuch. W fartuchu był rewolwer. Nie zapomniał nawet o małej czapeczce, doskonale zasłaniającej włosy.

Teraz śmiało wyszedł Dickson na korytarz. W drzwiach spotkał się z innym dozorcą.

— Możesz już zdjąć maskę! — rzucił tamten.

— Tylko w pokoju skazanych szef kazał ją nosić.

— Aha. — mruknął Dickson. I ruszył przed siebie.

Szedł szybkim krokiem przez korytarz.

Nagle uszu jego dobiegł głos Miss Etel:

— Nie chcę. Jestem znów zdrowa, niech mnie pan nie hipnotyzuje! Nie chcę!

Rozległ się śmiech Foxa a potem spokojny jego głos:

— Teraz będziesz dopiero zdrowa. Teraz, siostrzo Mario. Jesteś siostrą Marią! Rozumiesz! Mów, czy rozumiesz?

— Tak... Tak... Jestem siostrą Marią...

Dickson słyszał jeszcze szelest kroków. To pewnie wychodził Fox.

Nie było chwili do stracenia. Trzeba było działać.

Jak huragan Dickson wpadł do pokoju, skąd go dobiegł głos Foxa.

Oto tam, pochylony nad młodą dziewczyną stał, w odległości trzech kroków i przesywał ją swym wzrokiem.

Już teraz nie wolno się było wałać.

Dickson odskoczył w ten sposób, aby leżąca bez władzy Miss Copper znalazła się poza polem ostrzału i bez namysłu, pełen strasznego gniewu wypalił w stronę Foxa trzykrotnie.

I oto po chwili, w panicznym strachu Dickson cofnął się ku drzwiom.

Fox nie drgnął nawet. Fox stał dalej. Stał, jak przed strzałami, mimo, że ani jeden strzał nie chybił.

Skądś biegli ludzie.

Detektyw dopadł do Foxa. Po chwili zrozumiał wszystko. To była woskowa lalka — sobowtór zbrodniarza. Używał jej do zastraszania swych ofiar i do hipnotyzowania ich.

Miss Copper ocknęła się.

Powiodła martwym wzrokiem dokoła, jakby nieświadoma gdzie jest i co się z nią dzieje.

Harry Dickson podszedł do niej i schwycił za ramiona w łokciach:

— Miss Copper! To ja!

Dziewczyna usiłowała się wyrwać. Nie poznała swego zbawcy.

— Ja nie chcę! Proszę mnie puścić!

— Foxa nie ma! Uciekamy, Miss Ethel!

Dziewczyna spoglądała na detektywa ciągle jeszcze błędnym wzrokiem.

— Fox?... Kto to taki?

— Fox, zbrodniarz, którego ścigamy od dawną Ethel przetarta oczy.

— Fox... — powtórzyła. — A gdzie Tom Wills?

— Nie wiem. Nie wiem jeszcze, ale dowiem się.

Ale ja jestem! Wyruszymy na jego poszukiwania! Prędzej, Miss Ethel!

Oczy dziewczyny ożywiły się teraz, przeszedł

przez nie dawny błysk inteligencji, i nagle odzyskując jasność umysłu, Ethel krzyknęła:

— Oni tu zaraz będą! Ma pan broń dla mnie?

— Nie, nie mam!

Ta rozmowa trwała niespełna minutę. Właśnie z głębi budynku dobiegły uszu Dicksona jakieś hałasy.

— To Fox i Kreolka!

— Ja ich tu zatrzymam. Niech pani biegnie po broń dla siebie.

— Tak jest! I zatelefonuję po policję.

— Dobrze!

Dickson przypadł do drzwi i zamknął je na klucz.

Była ostatnia chwila, bowiem gdy tylko klucz zapadł w zamku, rozległo się gwałtowne dobijanie.

— Otwierać! — wrzeszczał Fox, którego detektyw poznał po głosie. — Co się tam stało, Otwierać, bo drzwi wyważę. Gdzie jest służba?

Dickson już otworzył usta, by oznajmić zbrodniarzowi, jaką to niespodziankę mu wyszykował, ale nagle zmienił zamiar. Trzeba było za wszelką cenę zyskać na czasie. Nie tylko o pomoc ze stro-

Cud techniki
nowoczesnej



Automat-
Pistolet „Grom“
kal. 6 m/m —

jest uznany przez znawców za najlepszy. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. System belgijski. pięknie oksydowany. Repetuje się przed strzałem automatycznie wyrzuca gilzy. Huk kolosalny. Wykonanie luksusowe. Rekojęści wykładane masą bakelitową. Waga 200 gramów, długość 100 m/m., wysokość 65 m/m. Idealna obrona przed napadem i kradzieżą. Cena zł. 6.95. Dwie sztuki zł. 13.50. Sętka naboju system „Flobert“ zł. 3.65. Pozwolenie niepotrzebne. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płać się przy odbiorze. — Adresulcie: Przedst. Fabr. Pistoletów

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2

Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

ny Miss Copper chodziło, ale również i posilki policj, które powinny już wkrótce przybyć.

Tedy detektyw odparł płacziwym głosem:

— Nic się nie stało. Tylko mi się coś zdawało... Zdawało mi się, że tu pan stoi, a to nie był pan, panie doktorze, więc strzelilem.

— Kto pan jest, — rzekł Fox, zmieniając od razu ton na łagodny i pełen powagi, jakim zwykł był przemawiać do swych „pacjentów“.

Udając teraz tego Francuza, Dickson zaczął po francusku:

— To ja, Villers, Monsieur Jerumier. Nie czuje się dobrze. Tchu mi brak.

— Niechże pan otworzy, Monsieur Villiers. Zaraz panu pomogę.

— Nie potrafię otworzyć. Nie umiem.

Fox coś mruknął i po chwili jego oddalające się kroki świadczyły, że narazie zrezygnował z do-

stania się do pokoju, w którym Dickson czekał na policję.

Upłynęło kilka minut względnego spokoju.

Nagle dosłyszał detektyw warkot kilku zbliżających się samochodów. Wozy zatrzymały się przed gmachem raptownie, jęcząc hamulcami.

— Policja! — szepnęła Ethel.

— Tak. Teraz my musimy przejść do ataku.

To mówiąc Dickson otworzył drzwi i wypadł na korytarz.

Ale było już za późno. Przez okno dojrzał detektyw mknący po szosie z szybkością wyścigową motocykl. To Fox uciekał ze swą współniczką.

★

O dalszych etapach pościgu za Foxem dowiemy się w jednym z następnych numerów.

KONIEC.

PALACZE TYTONIU

Ratujcie zdrowie. Nikotyna zatrzuwa organizm

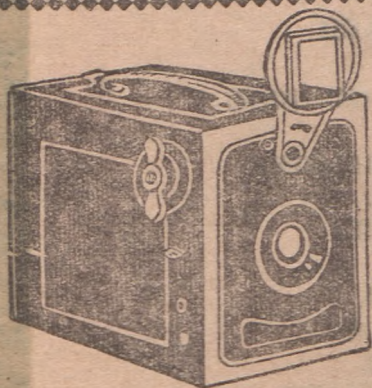


Możecie w sposób łatwy i przyjemny odzwyczaić się w ciągu 3-ch godzin od palenia. Zamówcie zaraz nasz wieczny papieros „IDEAL”, a ochronie swe zdrowie przed niszczącym wpływem nikotyny. — Papieros „i-DEAL” daje możność zaciągania się i oddziaływa zbawiennie na błone śluzową nosa i gardła. „IDEAL” wzmacnia i krzepi organizm, dając zadowolenie duchowe i fizyczne. Mnóstwo listów dziekiżnych. — Cena zł. 2.45. Płaci się przy odbiorze. Nie zwlekajcie! Zamówcie — póki nie jest zapóźno! Straconego zdrowia nie odzyskacie! Płaci się przy odbiorze. Wysyłamy na liście wne zamówienie

Adresuj:

Kazimierz Kołodziejczyk oddz. 2

Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.



APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAZDEGO!!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten odznaczający się wysoką precyzją wykonania robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze. Rozmiar 6x9. Aparat fotograficzny „Rekord”, efektownie wykonany, wysyłamy łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za zł. 8.95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj:

Kazimierz Kołodziejczyk

Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

Następny **Nr. 33 Harry Dicksona**,
który ukaże się we wtorek, dn. 30-go maja
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

Skarb na dnie morza

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.

KSIĄŻKI ZA BEZCEN!



Z powodu dużego zapasu sprzedajemy najmniejszy komplet książek bardzo tanio:

1) „Spowiedź” Szyllera-Szkolnika. Psychologiczne studium nad duszą człowieka. Jak zachowywać się w życiu, kiedy unikać zmartwień i chorób. 2) Zwycięstwo w miłości. Ciekawe studium nad kobietą. 3) Słownik wyrazów obcych, niezbędny w życiu społecznym, politycznym i codziennym. 14.000 wyrazów obcych z podaniem wyimowy. 4) „Spotęgowanie Energii i Woli” Jak zostać silnym i zdrowym człowiekiem. Wzmacnianie woli i zdolności umysłowych za pomocą sugestii, magnetyzmu i hypnotyzmu. 5) Gra w szachy. Popularny wykład. Cena za cały komplet zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. — Adres:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK,

Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

Czarna i biała magia

Każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zreczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Polykanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Spiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Każdy łatwo potrafi się nauczyć wszystkich sekretów. Wysyłamy łącznie z Czarną Magią różne ciekawe książki, komplet z 6 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. — Adresuj:

KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK oddz.

Warszawa, I. Pl. Napol. skrz. poczt. 700 H. D.

UWAGA: Bezpłatnie dodajemy książkę p. t. „Poznaj siebie i bliźnich!!!” Jak wróżyć z ręki i z palców, najnowsze sposoby wróżenia.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Dofychezas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|--------------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 37. WODNY CZART. |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 38. DUCH W ZAMCZYSKU. |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 39. UPIÓR W TEATRZE |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 40. DEMON WIATRU. |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 41. SOBOWTÓR. |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC. |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 43. DANCING NA BŁOTACH |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 44. PRZEDZIWNY HOTEL. |
| 9. „POSEPNA KABALA“ | 45. SREBRNA MASKA. |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ | 46. SIEDEM KRZESEŁ. |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ | 47. DIABELSKI SKARB |
| 12. „KAPLANKA OGNIĄ“. | 48. KAT LONDYŃSKI. |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY | 49. CZERWONY SUŁTAN. |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA | 50. PRZYGODA MALAJSKA. |
| 15. WIDMO TUŁACZA | 51. SYNOWIE NOCY. |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT | 52. KRÓL ŻELAZA. |
| 17. DUCH ŚWIATŁA | 53. WALKA W TUNELU |
| 18. CZERWONA DAMA | 54. ZBRODNICZY AUTOMAT |
| 19. MIASTO PIRATÓW | 55. TAJEMNICA PROFESORA FOXA |
| 20. POSTRACH LONDYNU | 56. W PIASKACH SAHARY |
| 21. TAJEMNICA ŁODZI PODWODNEJ | 57. DWANAŚCIE SERC |
| 22. NIEBIESKI BOCIAN | 58. ŻYWY PORTRET |
| 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO. | 59. ZAMEK NA SKALACH |
| 24. HAWAJSKI SZTYLET. | 60. BAL MASKOWY |
| 25. WOSKOWE JABŁKO | 61. TRAGEDIA STAREGO RODU |
| 26. WIELKA GRA. | 62. CZERWONY SMOK |
| 27. HOTEL EMIGRANTÓW. | 63. SKRADZIONY WYNALAZEK |
| 28. KRWAWY KLEJNOT | 64. FAŁSZYWY KROK. |
| 29. SZTUCZNE ZŁOTO. | 65. KRÓLOWA TRAPEZU |
| 30. CZARNY MŚCICIEL. | 66. UPIÓR TAMIZY |
| 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI. | 67. CZARNA PANTERA |
| 32. POŻAR W MIASTECZKU. | 68. W PALARNI OPIUM |
| 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG. | 69. BEZLUDNA WYSPA |
| 35. GWIAZDA POLARNA. | 70. TOREADOR Z GRENADY |
| 36. KWADRATOWE OKNO. | 71. KOBIETA O 4-rech TWARZACH. |

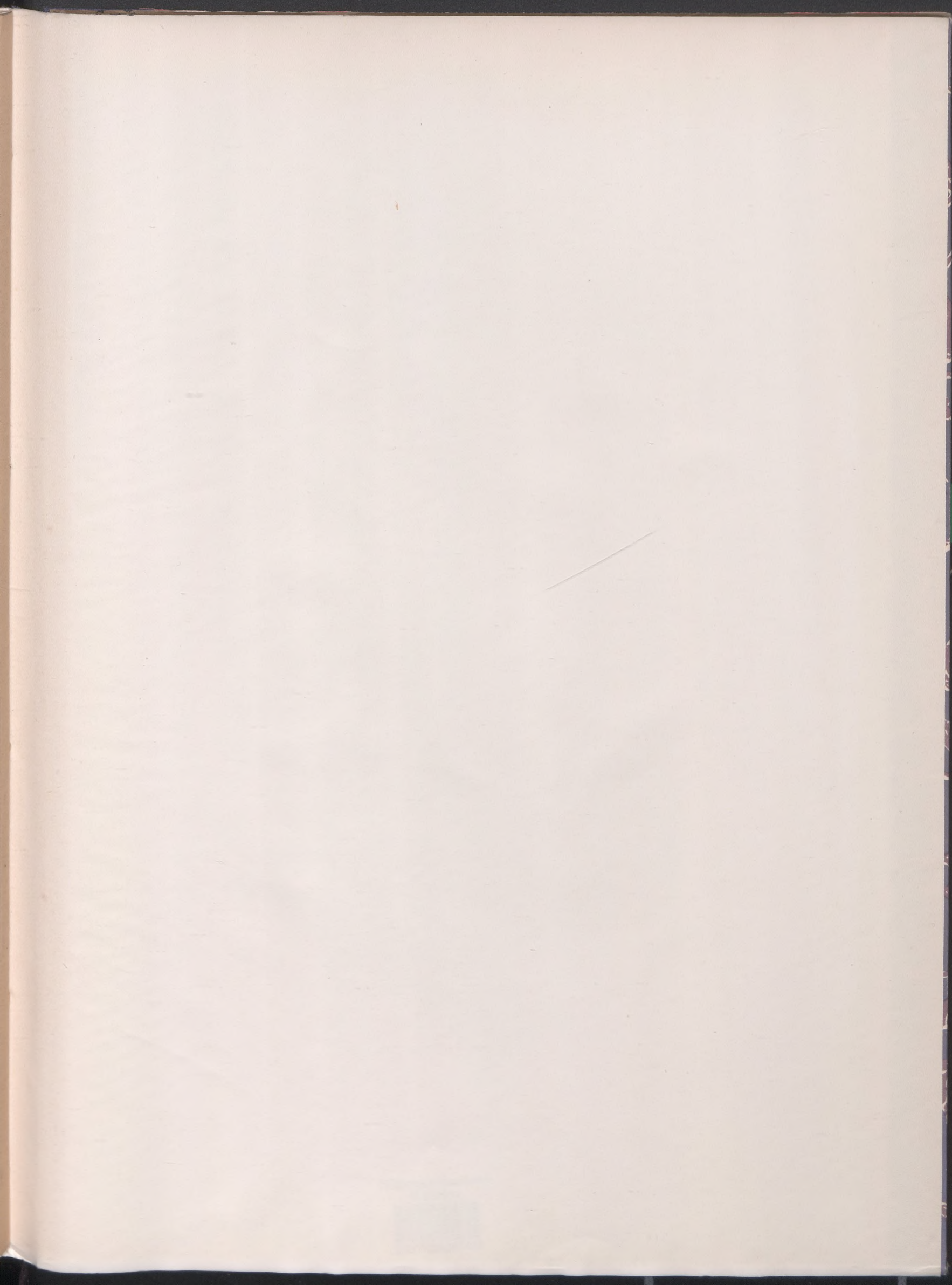
Czytajcie

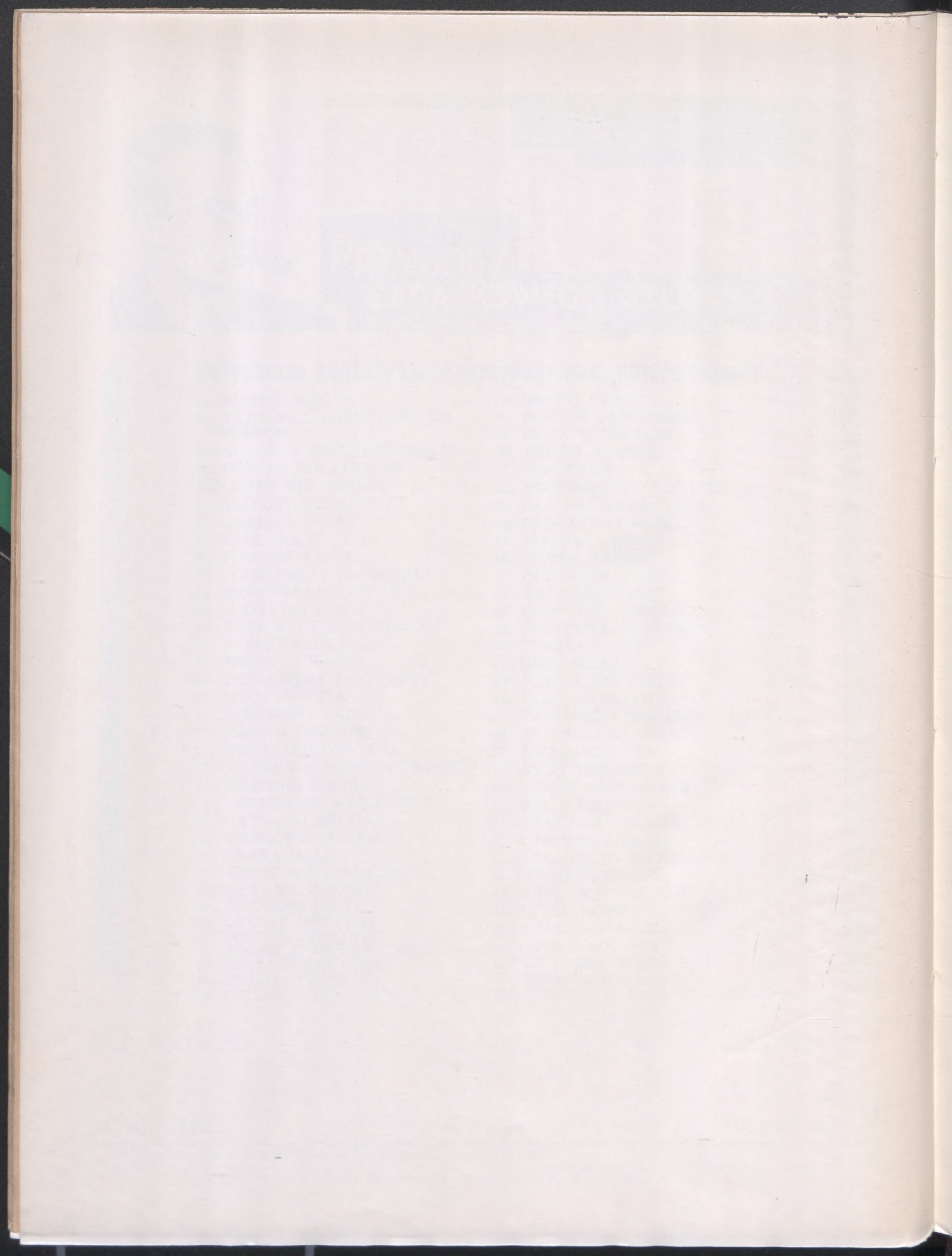
PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena 10.

Cena 10.

REDAKTOR: Antoni Weiss. — Odpow. za ogłoszenia i reklamy Konstanty Łosiew. — W Łodzi
 WYDAWCA: Wydawnictwo „Republika” Sp. z ogr. odp. — Oddział w drukarni własnej, Łódź, ul. Piotrkowska 49 — 64
 Kto P. K. O. 68.148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcja — tel. 136-56





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024366425



24j
623405/72

BN

BN

BN

BN

BN